Nr. 20. Warszawa, dnia 19 (7) Maja 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Nowa broń. — Listy z Paryża, p. B. — Tydzień polityczny. — *Odcinek*: Jan Reibrach. Człowiek-tarcza, tłom. z franc. Sz — *Badania naukowe*: Prace filologiczne, p. J. F. Gajslera. — Nowa próba w dziedzinie psychologii rasowej, p. L. — *Literatura i sztuka*. Literatura angielska, p. L. W. — Odczyty, p. Zn. — *Życie społeczne*: Listy petersburskie, p. N. B. — Z Poznańskiego, p. t. z. — Ograniczenia w organizacyi ubezpieczeń na życie, p. P. — Pamiętnik. — W dali. — *Sprawy ekonomiczne*: W sekcyi rolnej, p. Zen. Piet. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

NOWA BROŃ.

Zarówno z ust ministrów i generałów, jak ludzi prywatnych słyszymy często przepowiednię, że gdyby obecnie wybuchła wojna, byłaby ona straszną, przewyższającą swemi okropnościami wszystkie poprzednie nietylko skutkiem olbrzymiego powiększenia liczby wojsk, ale też nadzwyczajnego udoskonalenia broni. Od czasu jak armie otrzymały karabin nowego systemu, nie wybuchła w Europie ani jedna wojna, właściwie zatem jego niszcząca siła nie okazała się w szerokiej próbie i jest raczej przedmiotem wiary, niż doświadczenia. Ludzkość wszakże nie jest pod tym względem pozbawiona zupełnie dowodów. Częścią utarczki zbrojne w innych częściach świata, częścią wypadki rozruchów w Europie, tłumione bronią, dały pojęcie o jej działaniu w nowej postaci. Zwłaszcza t. z. karabin Manlichera, używany podczas wojny chilijskiej i kilkakrotnie w zamieszkach europejskich, wykazał swoją różnicę z poprzednikami. Na podstawie tych doświadczeń jeden ze znakomitych chirurgów wydał mu świadectwo „broni humanitarnej.“ Według tego bowiem znawcy, który badał rannych i zabitych, kula z owego karabina wprawdzie idzie dalej, bije mocniej, przeszywa całe szeregi żołnierzy, ale drąży rany gładkie i nie roztrzaskuje kości a z tego powodu, o ile nie zabija, umożliwia szybsze i łatwiejsze wyleczenie. Otóż przeciw temu twierdzeniu wystąpił na kongresie lekarskim w Rzymie lekarz sztabu generalnego armii niemieckiej, dr. Koller, który zbadał znaczną ilość postrzałów z nowego karabina. Rany, zadane z wszelkich odległości, mają być bez porównania cięższe od dawniejszych. Na 600 metrów kule nie wbijają jeszcze strzępów ubrania, ale zniszczenie w ciele jest straszne, gdyż pocisk działa jak materya wybuchowa. Kości nie bywają wcale przewiercone, lecz roztrzaskane jak gdyby ładunkiem dynamitu i rozproszone naokoło w małych kawałkach. Wątroba, serce, nerki są jak gdyby starte, wszystkie wnętrzności poszarpane. Otwór wejścia kuli jest bardzo mały, natomiast wyjście szerokie, lejkowate, od 12 do 18 centymetrów w średnicy. Pocisk, który trafi w jedną z kończyn i napotka kość, niszczy cały członek; jeśli przejdzie przez głowę, szyję lub brzuch, zabija natychmiast. Sprowadza również śmierć przeszywszy piersi, chociażby ominął serce i główne naczynia. Po za 600 metrami kule stają się mniej niebezpieczne. Trafiwszy jednak w brzuch, sprowadzają jeszcze wielkie zniszczenia. Z większych też odległości wyrzucane wtłaczają do ran strzępy odzieży, a z nimi rozmaite drobnoustroje, co powoduje liczne powikłania chorobowe. Począwszy od 1000 metrów kości bywają przebijane gładko, ale dokoła pękają. Nawet z odległości 1,600 metrów w połowie wypadków pocisk sprowadza pękanie kości, których odłamki bądź zostają na miejscu, bądź wpędzane bywają głęboko. Ciekawem spostrzeżeniem jest to, że temperatura kuli, wpadającej w ciało, wzrasta do 70 stopni, a jeżeli strzał wybiega szybko po strzale— nawet do 350 st. Pocisk, otoczony pochwą stalową, prawie zawsze traci swój kształt w ciele i często rozpada się na małe odłamki, które rozrywają i wystrzępiają tkanki.

Gdyby nawet w twierdzeniach lekarza niemieckiego była pewna przesada, wynikająca z chęci obalenia poglądu przeciwnego, w każdym razie uzasadniona jest uwaga, że dawne okrągłe kule były niewinne w porównaniu z obecnemi, wylatującemi z karabinów Manlichera. Z tych zaś spostrzeżeń łatwo sobie nakreślić przypuszczalny obraz wojny. Karabin, który wyrzuca zabójcze pociski na odległość dwu wiorst, którego kule przeszywać mogą 12, a chociażby tylko czterech żołnierzy i przebijając rozrywają ich jak ładunki dynamitowe — jest bronią tak straszną, że ubezwładnia wszelkie obliczenia i puszcza w fantastyczny ruch imaginacyę. Dodajmy do tego w równej mierze udoskonalone inne środki orężne, zwłaszcza armaty, a zrozumiemy, jaką to przerażającą treść zawiera w sobie wyraz: wojna. Rozważając ją, mimowoli przechylamy się ku mniemaniu, że sama broń zabija wojnę, czyli że spotęgowana skuteczność narzędzi morderczych osłabia w wysokim stopniu chęć i odwagę do starć zbrojnych. Dziś bowiem mniej niż kiedykolwiek niepodobna uniknąć masowych rzezi i obliczyć rezultatów walki. Gdzie wchodzą w grę tak olbrzymie, tak niszczące i tak jeszcze nieznane czynniki, tam trudno stawiać jakiekolwiek wróżby, które przecież postawić sobie musi każde państwo, dające hasło do boju. Trzęsienia ziemi, orkany, najgwałtowniejsze kataklizmy natury są igraszką wobec wielkiej wojny obecną bronią. Czy można się dziwić, że najśmielsi i najryzykowniejsi blednąą przed tą myślą?

LISTY Z PARYŻA.

Budżet. — Uregulowanie służby wojskowej. — Wystawa Grasseta. — Książę — oszust. — Tajemnice marynarki. — Wilson. — Obchody klerykalne.

Budżet przygotowany przez ministra finansów Burdeau przynosi nową niespodziankę: dziewięćdziesięcio milionową nadwyżkę rozchodów. Sama marynarka pochłonie o dziesięć milionów więcej, niż poprzednio, wydatki na kolonie wzrosną o osiem milionów. Z tego trzy na bezowocne wyprawy sudańskie.

Nie dziw, że ludzie myślący marszczą wobec tego czoło. Minister szuka ucieczki w nowych podatkach i pożyczce, ale dług państwowy francuski przewyższa wszystkie inne w Europie, a podatki ciążą wiel-

ce. Zwiększać pierwszy i drugie — woła Kamil Pelletan — znaczy wtrącać Francyę w przepaść. Pozostaje tylko odciągnąć ją reformami społecznemi. Tymczasem „nowy duch,“ kierunek wstecznego ministerstwa Périer, wcale reformom nie sprzyjają.

Codzień czyta się o samobójstwach z nędzy lub dla braku pracy. Przed kilkoma dniami na avenue de Clichy stójkowi znaleźli na ławce umierającego człowieka. Był to wyrobnik, Piotr Duclos, lat czterdziestu dziewięciu. Zaprowadzono go do komisaryatu, posłano po wóz, któryby go zawiózł do szpitala. Gdy przybył po godzinie, Duclos nie żył. Lekarz stwierdził śmierć głodową.

Wypadki podobne toną w kronikach.

Przy sposobności budżetu nie ustają roztrząsania nad możliwością rozbrojeń. Najracyonalniejszym może jest projekt posybilisty, Pawła Brousse, w *La Petite République Française*. Uważa on za bardzo na czasie uregulowanie międzynarodowe trwania służby wojskowej. Zwiększający się dług państw europejskich — rozumuje autor — uwidocznia przerażający wzrost wydatków na armie. Lecz rozbroić się, znaczy przyśpieszyć wojnę. Należy uogólnić niebezpieczeństwo, niechaj wszyscy będą zainteresowani w jego uchyleniu. Innemi słowy, wprowadzić milicyę narodową. Przejściem do tej zmiany byłoby skrócenie służby wojskowej z trzech lat do roku. We Francyi, gdzie dług wojenny wynosi na głowę 798 franków, redukcya dałaby oszczędności dwieście milionów. Lepszem jeszcze byłoby porozumieć się z mocarstwami Europy; w razie niemożebności doprowadzenia porozumień do skutku, Francya niechaj da przykład, dla niej samej najkorzystniejszy.

Jak zawsze, koniec kwietnia i maj — okres wystaw. Zatrzymamy się wszakże dziś nad wysoce charakterystyczną wystawą dzieł Grasseta.

Od lat kilku wzrasta jego sława dzięki — afiszom. Ilekroć wśród szmat rozlepionych na rogach ulic, zapowiadających wielką wyprzedaż kapeluszy lub nową powieść, ujrzysz linię szlachetną, rysunek artystycznie piękny, możesz być prawie pewnym, że u dołu afisza widnieje monogram E. G. W najmizerniejsze motywy wkłada Grasset wybitny talent: jego anons czekolady meksykańskiej, atramentu firmy Marguet, mączki dla dzieci zatrzyma wzrok na sobie. Tu koń spieniony z rozwichrzoną grzywą staje dęba i pasuje się z opalonym, czarnowłosym i czarnowąsym meksykańczykiem, tam kobieta z konturami gibkimi, o długim pięknym warkoczu, smukła, trzyma lekkie pióro, umoczone we wspomnianym atramencie.

Wystawa zawiera znaczną ilość ogłoszeń, okładek pism miesięcznych — głównie angielskich. Wszystko co modne we Francyi, znajdzie pokup u aglików. Jest to wszakże kilka prac poważnych.

Rzędem biegną przez dwie ściany rysunki z okien kościelnych. Prawdopodobnie kiedy farba wypełni te szkice, zatrze się wiele uroku. Twarze dowodzą wystudyowania rzeźby i malarstwa starofrancuskiego, stereotypowość wyrazów jak w okresie sztuki między bizantynizmem, a rozkwitem włosko-flamandzkim. Natomiast zarysy, linie sukien i ciała niby z ręki ucznia szkoły romańskiej lub florentyńskiej.

Dwanaście obrazów osnutych na tle dziejów Joanny d'Arc cofa nas bardziej wstecz. Smukłe, chude postacie, sztywność, brak indywidualności w twarzach, malowanie pierwotne np. ognia w formie pasków czerwonych owijających się około dziewicy na stosie — cechy malarstwa średniowiecznego. Znowu może w malowidłach wnętrz kościelnych odgadniesz wpływ szkoły flamandzkiej zresztą analogiczny do powrotu symbolistów w poezyi, zwrot ku wiekom średnim.

Wywołane odrazą do motywów banalnych, zająców w trawie, scen rodzajowych, panów w powozach, uciekanie się do szkół dawnych znajduje w Grassecie jeden z najwybitniejszych wyrazów. Talent potężny zaciera się w naśladowaniu kierunków dawnych. Artysta ubiera suknię gotycką, włoską, niekiedy japońską, byle nie ukazać się w stroju przypominającym codzienność i codzienność.

Arcydziełami niemal są dwa obrazy owiane wpływem japońskim. Jeden: Hun na chudym koniu, z kołpakiem na głowie i kołczanem przerzuconym przez plecy dojeżdża do kastelu frankońskiego. Drugi: Łowy na dzika. Z ostępu bezlistnego jesienią wypada odyniec, jeden pies tylko rzucił mu się na kark. W dali kilkanaście domów naszkicowanych. Grupa barbarzyńców wyczekuje z oszczepami. Na ziemi trawa straciła już barwę, na uboczu siłacz z twarzą jakby słowiańską, wąsaty, ściska w dłoni oszczep. A oto jeden wyciągnąwszy się i stąpając mocno w wywróconym kosmatym kożuchu sunie na zwierza.

W Paryżu stanie wkrótce przed sądem książę Talleyrand - Périgord, oskarżony o fałszerstwo weksli. Rodzina, jak zwykle w podobnych wypadkach, przygotowywa poświadczenie lekarskie o niepoczytalności podsądnego.

Charakterystyczniejszy proces zajmuje Marsylię. Przed dwoma tygodniami wiceadmirał Vallon złożył sprawę ze śledztwa, dotyczącego marynarki. Chociaż na flotę rokrocznie idą miliony, wybrzeża okazały się niedbale ufortyfikowane, w magazynach panował nieład, a statki nie posiadały ani połowy szybkości wymaganej i zbudowane były ze złych materyałów. Komisya wahała się nawet, czy ogłosić te odkrycia, kierowana skrupułami patryotycznymi. Ogłosiła nareszcie, usprawiedliwiając wszystko i wszystkich. Nie było ani słówka o możliwości oszustw.

Niezręczny jakiś urzędnik wydał, niestety, jednego z panów. Komisarz marynarki, Geste, w porozumieniu z całą gromadą wytwórców korzystał z sum wyznaczonych na zakupno materyałów. Nie należących do grupy wyłączał naprzód przy konkursach, sporządzał fałszywe raporty i zamówienia oddawał za zapłatę swoim. Nadmieńmy jednak, że nie został aresztowanym. Pojechał tylko do Paryża—usprawiedliwić się.

Wilson, osławiony zięć Grevego, zdobył ponownie mandat unieważniony. Większością dwu tysięcy głosów pobił swego przeciwnika Raoul-Duvala. Tym razem, jak zapewniają pisma, walczące strony nie osypywały się obelgami. Tylko przeciwnicy Wilsona przebąkiwali na afiszach, że powołani są do obrony honoru rzeczpospolitej. Raoul-Duval miał poparcie rządu: ostatnimi czasami zmiany urzędników, nauczycieli ludowych, innych przyjaciół Wilsona były na porządku dziennym. Bardzo niesłusznie, gdyż Wilson uważa się za zagorzałego republikanina. „W 1869 ja usunąłem reakcyę w Loches, od tego czasu ja jeden dzierżę wysoko sztandar rzeczypospolitej.“

Ruch klerykalny pod skrzydłami opiekuńczemi „nowego ducha“ rozwija się bar-

---

CZŁOWIEK-TARCZA.

(L'homme-poupée).

przez

Jana Reibracha.

Wypadek zrządził, że pewnego dnia zaszedłem do mieszkania pod strychem. Chodziło o jedną z nędz częstych: mąż chory, niemogący zarobić na chleb powszedni; żona bez roboty, dość zresztą zajęta pielęgnowaniem męża i karmieniem wychudzonych dzieciaków.

Pierwsze moje wrażenie było przykre. Żona, młoda, cierpiąca, zdawało się była godną współczucia, dzieci zaś, zwłaszcza najmłodsze, które ssało sztuczną mamkę napół napełnioną płynem białawym, widocznie sprzedanym za mleko, miały twarze otwarte, inteligentne, nawet wesołe w szczerej nieświadomości nędzy; bezkrwistość ich oblicza miała w sobie coś przejmującego. Natomiast mąż, leżący na tapczanie, szczupły, kościsty, o członkach cienkich, miał twarz jeszcze nabrzmiałą i potłuczoną jakby od bójki pijackiej lub od spadnięcia ze schodów. Wśród cuchnącej nędzy jednej izby, oświetlonej przez małe okienko w dachu, które, gdy je otwierano podczas niepogody, dawało dostęp deszczowi, opanowywały mnie dziwne widzenia: widzenia orgij pijackich i balów podrogatkowych; sylwetki sutenorów z bulwarów zewnętrznych; cienie przemykające się nocą pod murami z grubym kijem za plecami, gdy się dają słyszeć kroki niepodal.

Człowiek ten jednak nie skarżył się ani na potłuczenie swej twarzy, na nabrzmienie czerwone oka. Użalał się na ból piersi; i głos jego istotnie słaby, świszczący, przerywał nieustannie kaszel suchy. W duszy pomyślałem o jakimś ciosie niebezpiecznym, o ostrzu noża wepchniętym między żebra w bójce. I spoglądałem na niego ze szczególną przyjemnością, jak na zwierzę niebezpieczne, chwilowo ubezwładnione.

Zapytałem żony:

— Jakie jego rzemiosło?

— Pracuje w budach jarmarcznych.

— W jakich budach?

— Tam, gdzie są lalki z drzewa, które się wywraca za pomocą kul. Nazywają to „rzezią niewiniątek.“

Obojętny, wzruszyłem ramionami. Prawdziwe lub nie, opowiadanie to nie zmieniało biegu mych myśli. Jarmarki to rzecz wyjątkowa; podobne rzemiosło kazało domniemywać się więcej próżniactwa, niż roboty. Jeżeli żył z nich w ciągu trzech — czterech miesięcy na rok, z czegoż żył resztę czasu?

Instynktowne obrzydzenie do męża nie zmniejszyło wszakże mej litości dla żony jego i dzieci. Nie ich to przecie wina, owszem, wydawały mi się tem godniejszemi politowania. Kobieta, gdyby ją przyzwoicie odziać, byłaby ładną; z łatwością mogłaby nawet być nieuczciwą. Dalej niemowlę, które wciąż ssało flaszkę z twarzą bladziutką i oczyma błyszczącemi, tak rozdzierało serce swem uśmiechaniem się do życia pośród nędzy, że pozostawiłem trochę grosza, a wróciwszy do domu, posłałem mleko, rosół i wino.

Po upływie kilku dni sprowadziła mnie tam ponownie ciekawość. Było to w niedzielę. Mężowi było cokolwiek lepiej. Zastałem go samego: wstał z łóżka, doglądał dzieci, podczas gdy żona poszła podlewać ogrody w okolicach podmiejskich. Twarz jego mniej spuchnięta miała na sobie nabrzękłości i blizny. Zamiast ruchów podejrzanych i niepokojących, które sobie wyobrażałem, miał on wygląd słodki, zrezygnowany, cokolwiek przygasły. Uprzedzenia moje ustąpiły miejsca zdziwieniu. A gdy dziękował mi, oznajmiając, że za dwa dni będzie mógł wrócić do pracy, zapytałem go o uderzenia, których ślady widoczne były na jego twarzy.

Przeciągnął po niej ręką, ruchem obojętnym:

— To? Rzekł. Oh! to są poduszeczki!

dzo pomyślnie. We wszystkich miastach Francyi odbyły się uroczyste obchody na cześć dziewicy Orleańskiej. W Paryżu związek studentów katolickich ozdobił wieńcami jej posągi, w Orleanie otworzono muzeum Joanny d'Arc, w Blois, Bordeaux. Marsylii, Montpellier manifestacye katolickie, msze wśród udziału tłumów i wojska. Inny objaw otwarcie przez opata Garnier, redaktora klerykalnego pisma „Lud francuski“ — „domu ludu.“ Podobnej nazwy instytucya, łącząca koła ludowe, istnieje w sąsiedztwie domu Garnierowskiego. Inauguracya odbyła się przy udziale dość nielicznym, w każdym razie zebrało się kilkuset ufraczonych.

B.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Upór na upór. Po odrzuceniu ustawy o ślubach cywilnych przez Izbę magnatów, prezes ministrów zapowiedział lordom węgierskim, że wkrótce znowu będą obradowali nad nią i to z odmiennym skutkiem. Skoro więc tylko projekt odesłany został do sejmu, wszedł odrazu na porządek dzienny i przy zapewnionej większości będzie ponownie uchwalony bez rozpraw, poczem znowu — może już w przyszłym tygodniu — stanie przed magnatami. Tu prezes ministrów postara się o zapewnienie mu „rękojmi“ przyjęcia. Jakież to będą rękojmie? Przedewszystkiem rozmaici dygnitarze dworscy, którzy głosowali przeciw ustawie, usłuchają rady, ażeby poprzestali na jednorazowym tryumfie i nie fatygowali się do urny. Następnie mianowani być mają nowi członkowie Izby wyższej w takim zastępie, jaki jest potrzebny do przeważenia szali głosów na stronę rządu. Dzięki tym dwu środkom Wekerle spodziewa się przepchnąć nowe prawo i złamać opór zachowawczociemnych panów.

Skutkiem tego zatargu dwu Izb wytworzyło się w Węgrzech położenie bardzo podobne do sytuacyi w parlamencie angielskim. Różnica jednak jest dość znaczna na korzyść właściwych przedstawicieli narodu. W Anglii znaczna większość lordów jest nieprzyjazną rządowi liberalnemu i nie da się zrównoważyć przez wprowadzenie nowych. Nadto królowa nie posiada wpływu politycznego i stara się zachować ściśle konstytucyjno-bierne stanowisko. Natomiast Franciszek Józef jest bardzo powolnym dla każdego rządu węgierskiego i nawet wbrew osobistemu przekonaniu nie zechce mu się sprzeciwiać. Posiada on przytem wielki wpływ na czynniki polityczne, i jeżeli Wekerle istotnie zażądał od niego powstrzymania urzędników dworskich, monarcha na to się zgodził. Idea zaś ślubów cywilnych za zbyt już zakorzeniła się w narodzie, ażeby ktokolwiek zdołał ją wyrwać. Węgrzy niezawodnie zaprowadzą u siebie tę instytucyę, chociażby Izba magnatów zwyciężyła po raz drugi. Jest to tylko kwestya czasu i to bardzo niedługiego.

Losy gabinetu liberalnego w Anglii ciągle wiszą na włosku paru głosów. Urwie się ten włosek któregokolwiek dnia, a rządy whigów się skończą. Możliwością tą grozi każdy dzień, niemal każda minuta. Widocznie z obecną Izbą lord Roseberry nie wytworzy sobie stałej większości. Za mało ona dla niego posiada pierwiastków jednorodnych, a on dla niej — powagi.

Młody kedyw egipski, przekonawszy się o trudnościach przebicia muru głową, postanowił im uledz. Wstąpił na tron z nienawiścią do Anglii, potem kilkakrotnie buntował się przeciwko niej — a teraz jedzie do Londynu, gdzie będzie „bardzo mile widziany.“ Tam ukończy swoje wykształcenie polityczne.

Jeden z dzienników angielskich zaniepokoił swoich rodaków wiadomością, że pewne znaki (ścinanie drzew itd.) zapowiadają w Indyach ruch powstańczy. Każda taka nowina przeraża Johna Bulla, bo uprzytomnia mu, że jest on słabym człowiekiem, który trzyma na uwięzi słonia.

Podobno w Radzie związkowej objawiła się dość silna niechęć przeciwko uchwale parlamentu, przywracającej jezuitom prawo osiedlania się w Niemczech. Ultramontanie (centrum) grożą rządowi nieprzejednaną opozycyą, gdyby to ich życzenie nie zostało spełnione.

Wrzenie w Serbii coraz bardziej wzrasta, a silnej podniety dostarczyła mu odmowa sądów zatwierdzenia ukazów królewskich o przywróceniu praw Milanowi.

We Francyi szerzą się dalej zamachy dynamitowe.

BADANIA NAUKOWE.

Prace filologiczne wydawane przez J. Baudoina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Z zapomogi Kasy d-ra Mianowskiego. Tom IV, zeszyt III. Warszawa 1893.

Niezbyt wprawdzie bogaty zeszyt co do ilości zamieszczonych w nim prac, lecz natomiast ciekawy i zajmujący co do ich jakości. P. Łopaciński przedstawia nam rękopis, zawierający regułę trzeciego zakonu św. Franciszka. Tekst na 17 kartkach wprawiony jest do traktatu teologicznego Mikołaja de Lyra. Jest to piękny druk koloński z r. 1501, znajdujący się w bibliotece seminaryum włocławskiego. Co do grafiki, zabytek ten nie różni się od innych podobnego rodzaju pomników. Pisownia przedstawia tę osobliwość, iż niekiedy zamiast *c* stoi *dz* — np. *myesyędzoch* (miesiącach). Być może, że tu działał dobór do rzeczownika mosiądz. Litera *x* oznacza *ksz* — np. *xthatho.* Jest tam także zmiękczenie spółgłosek nierzadkie w innych zabytkach: po*czw*yerdzenye, po*czw*yerdzon, *g*dzyz (gdyż). Sposób bezokoliczny w formie *zjić* (zgydzy) = zejść, przy*ć* (przydzy) = przyjść. Przymiotniki z wtrąconem t: czyeles*th*nych, wlos*th*nych. Zam. *ch* końcówkowego jest *k*: pyersya*k* (piersiach), co zdarza się u górali bieskidowych. Spółgł. *cz* zam. *sz*: *z*czedł zam. zszedł, co także w Ewangelii Ostromira (65, d). Do osobliwości należy liczebnik *śie*dmy zam. siódmy. Ze składni notujemy idyotyzm: dziatkami chodzić tj. być ciężarną. List ręką Boga pisany z r. 1521 nie zawiera szczególnych właściwości lingwistycznych. Podobną uwagę odnieść można do dekalogu, tj. dziesięciorga przykazań. Z Wokabuł i Glosów z r. 1481 dowiadujemy się, że *narok* (indecio) oznaczał przeciąg lat 15. Historycy czescy wywodzą *narok* od narzekania, co miało oznaczać skargę. Bezbarwnym co do osobliwości lingwistycznych nazwać można urywek pieśni do N. Maryi Panny z 1481, tudzież Glosy polskie z rękopisu łacińskiego, zawierającego Nowy Testament. Natomiast z glosów polskich przy kazaniach łacińskich z XV

Zdawał się mówić, że to nic, nie troszczył się o to więcej, niż grabarz spoglądający na stwardnienia swej dłoni.

— Pan wie, gra w rzeź niewiniątek! Nie jestem silny, rosłem jak mogłem, zajęty trochę tu, trochę tam, bez rzemiosła. Więc widzi pan, staję jako tarcza.

Niewiadomość moja dziwiła go. Tłomaczył:

— Tak, panie, lalki drewniane, to rzecz stara, to wyszło z użycia. Zabawne to uderzać w prusaków, w swą tęściowę. Tylko to zawsze jedno i to samo. Zresztą to nic nie czuje, to nie krzywi się, to nie krwawi wcale. Przeciwnie, to dodaje tem większej chęci uderzania naprawdę. I to tak dalece nawet, że powzięto myśl stawiania prawdziwych ludzi, ze krwi i kości. Ach! Do nas należy unikać uderzeń. Mamy przed sobą parawan drewniany; wychylamy głowę to tu, to tam, a gość celuje. O! wieczorem na bulwarze zewnętrznym — to istny szał! Otóż tedy wraca się do domu z gębą potłuczoną... Są tacy, którzy nigdy nie chybią. Zresztą, jeśli się ukryjesz za prędko, złapie cię właściciel budy. Im więcej trafionych, tem więcej się ludziska bawią. Tak być powinno, prawda, co robić?

Nie mogłem wątpić o szczerości tego człowieka. Z brzmienia jego głosu, z jego wyglądu, ze śladów pozostałych na jego twarzy biło wrażenie prawdy. Jednakże powstało we mnie jeszcze jakieś powątpiewanie. Zapytałem o bliższe szczegóły, a wywiedziawszy się o miejscowości, gdzie rozłożyła się ta buda, w której za dwa dni miał znowu pracować, postanowiłem poznać ją osobiście.

W dniu wskazanym udałem się, nie bez niepokoju, na bulwar zewnętrzny, przemykając się między szeregami bud. Wśród wesołości odświętnej, która mnie otaczała, wśród tłumu zajętego i rozbawionego, widziałem nizką brutalność zwierząt dręczonych w klatkach, cynizm wystaw nieprzyzwoitych, nic mi wszakże nie wskazywało w tym ludzie instynktów dzikich, popędu do bicia, żądzy widowisk bolesnych. Panowało wesele, hałaśliwe, ale dobroduszne.

— Hultaj mnie naciągnął — pomyślałem. Albo może był on obłąkanym!

Ostatnia ta myśl zawładnęła mną szczególniej, gdy wtem buda jakaś przyciągnęła mnie do siebie z powodu tłumu, który ją otaczał, hałasu, płaskich konceptów i śmiechów, które się z pośród niego rozlegały. Właśnie była to gra w rzeź niewiniątek. Z poza głów dostrzegłem śmieszne sylwetki, które coraz wyższymi rzędami sięgały aż pod dach budy. Nie to wszakże ściągało na siebie uwagę; koncentrowało ją coś, co się rozgrywało niżej cokolwiek, a z czego jeszcze nie mogłem sobie zdać sprawy. Coś mi szepnęło w duchu, że znajdę to, czego już nawet nie szukałem. Torując sobie drogę łokciami, wcisnąłem się nieznacznie między tłum i dostałem się do pierwszych szeregów. Po za parawanem trzy głowy z kolei to się podnosiły, to uchylały pod rzutami kul śród śmiechu, trzy głowy czerwone, zmasakrowane, o podbitych oczach, które błąkały się płaczliwie przelatując z kąta w kąt pod groźbą podniesionych i skierowanych w nie ramion. Śród dzikich krzyków, pijanych łobuzów kule obijały się o twarze wywołując dźwięki pełne i ciężkie. Właściciel budy za każdym razem podnosił je, podawał nanowo z uśmiechem, powalane, cięższe od błota, które do nich przylegało. I śmiechy tłumu stawały się konwulsyjnymi; kobiety płakały od śmiechu, prawie chore z rękami na brzuchach, gdy od dobrego rzutu oko prawie wyskakiwało z orbity.

W tej chwili właśnie spojrzenie moje, utkwione w człowieku, którego przyszedłem obejrzeć, ściągnęło jego uwagę. Poznał mię. Dzięki temu przez chwilkę zatrzymał się nieruchomie, tymczasem zaś wycelowano w niego. Trzy kule naraz spłaszczyły się o twarz jego, podczas kiedy śmiech rozbrzmiewał jak burza.

Znikł po za parawanem. Ale wkrótce musiał się ukazać ponownie, a tłum wrzeszczał, szalał z radości, wył, bo jedno oko nie otwierało się już wcale, bo krew ciekła z pod powiek, bo wargi zabrzękłe były porozcinane.

Tłom. z franc. *Sz.*

w. zasługuje na uwagę wyraz *ząbr* = tygrys, z czego późniejsze żubr. Ślady tej nosówki widoczne w nazwie miasta Zambrowa. Dalej idą drobne zabytki. Wokabularz łacińsko-polski z początku XVI w. Dwuwiersz polski z r. 1454, Dwuwiersz z XVI w. i nazwy roślin, glosy i wiersze z XV w. Nazwy botaniczne. Należy się podziękowanie p. Łopacińskiemu nietylko za ogłoszenie 11 zabytków, ale i za ułożenie odpowiedniego słownika.

P. Zygmunt Gloger podał słowniczek gwary ludowej z pod Tykocina. Okolica, będąca przedmiotem badań językowych, wynosi trzy mile w promieniu dokoła. Ludność składa się z drobnej szlachty mazurskiej, osiadłej tu w wiekach średnich i włościan. Słowniczek zawiera wyrazy żyjące w ustach dawnego pokolenia. Wyjąwszy niektóre wyrazy, znane z języka literackiego i innych gwar ludowych, są tam pewne właściwości osobliwe, które notujemy: b*arn*iaki — zarośla, chrósty, młoda sośnina; b*e*st, b*e*zt — bez, krzew pospolity; *białokorowaty* = białowłosy; *bieńduga* = wybrzeże spławnej rzeki; *bołt*, kij, którym rybacy nadnarwiańscy naganiają ryby do sieci, b*r*zechać, b*r*zechtać = szczekać, *buseł* = bocian; *chachaica* = żadymka; *chachmęć* = knieja; *chełchun* = pleciuch; *ćwierozy* = trzeźwy; *dulana* = dół, jama; *gać* = grobla; *jedun* = żarłok; *kłomel*, *kłomla*, *kłomka* = siatka do łowienia ryb i raków; *kozdroj* = niepoń; *kujawa* = miejsce w polu jałowe; *lędzaj* = dziki czarny groszek w zbożu; *obretka* = uzda; *oskoła* = brzozowy; *polwy* = błonia i łąki nadrzeczne; *sewoł* = roślina, wydająca po przełamaniu łodygi biały sok; *sukrawica* = krew z nosa płynąca; *trybuch* = brzuch; *wąklica* = stary garnek niezdatny do gotowania; *zak* = więcierz nastawiany na rybę idącą pod wodę.

Na szczególne odznaczenie zasługuje recenzya słownika kaszubskiego Ramułta, skreślona piórem p. Antoniego Kaliny. Uczony profesor oddając należną cześć niepospolitym zasługom autora, ze ścisłą gruntownością naukową rozbiera każde jego twierdzenie. W wyniku rozbioru swojego recenzent utrzymuje, że język kaszubski pod względem ogólnego charakteru form głosowych przedstawia starszą fazę, aniżeli dzisiejszy język polski literacki. Z najdawniejszych dokumentów pomorskich, przytoczonych przez K. okazuje się, że język dawnych pomorzan zgoła różnił się od kaszubskiego, obdarzonego przez p. R. mianem „pomorskiego.“ W argumentacyi recenzenta, dostrzegamy drobną niedokładność, którą postaramy się sprostować. P. K. usrzymuje, że zmiana *u* na *e* w gwarze kaszubskiej dzieje się pod wpływem języka niemieckiego (str. 932). Owóż tak nie jest. Górale bieskidowi mówią połednie zam. południe; w gw. cieszyńskiej: połedniować, połednik, w zebrzydowskiej do pow*e*dnia; w gw. opolskiej: poł*e*dnie, przed poł*e*dnie, po poł*e*dniu; w gw. wołochów morawskich d*e*dek zam. dudek; słowack. kosz*e*la zam. kosz*u*la. Czyżby tu działał wpływ niemieckiego? Wątpię. Wyręczanie czyli korespondencya dźwięków odbywa się zupełnie samorodnie, częstokroć niezależnie od wpływów zewnętrznych; zwłaszcza że przemiana ta, z natury swojej należy do zjawisk spontanicznych, tj. zgoła niezawisłych. Podobnego co p. K. zdania był ś. p. Leon Biskupski, widzący w tem wpływ dolno-niemiecki, co właśnie stanowiło ujemną stronę cennej jego o kaszubach brodnickich pracy. Działał tu poprostu dobór do takich wyrazów, jak r*e*ba (ryba), p*e*tać (pytać), ż*e*d (żyd) i t. p. Znanem jest zresztą starop. Pełtowsk (r. 1232) zam. Pułtusk, Świętopełk zam. Świętopułk z gr. Hierostratos itp.

J. F. Gajsler.

NOWA PRÓBA

W DZIEDZINIE PSYCHOLOGII RASOWEJ.

Wjakiejś bajce mechanik dostaje najzwyczajniejszą skrzynkę, otwierającą się w sposób prosty, ale wyszkolona mózgowica specyalisty tak odwykła od rzeczy niezłożonych, że siedzi nad nią bardzo długo, probując najrozmaitszych fortelów. Coś podobnego często dzieje się w nauce. Są uczeni, posiadający szczególną zdolność zamiany rzeczy zrozumiałych a najcodzienniejszych na złożone i pokręcone. Tę uwagę nasunęła mi rozprawa Gustawa Le Bona, dość znanego pisarza francuskiego w kwestyach socyologicznych, która zajmuje się psychologią ludów *). Praca ta zasługuje na uwagę chociażby z tego względu, że jest pono pierwszą próbą, jaką znamy, w dziedzinie systematycznej psychologii duszy plemiennej. Dotychczas mieliśmy jedynie liczne wprawdzie, lecz bardzo luźne uwagi w tej mierze, rzucane mimochodem z najrozmaitszych powodów. Ktoś pisał historyę literatury i usiłował przedstawić rozwój piśmiennictwa jako zwierciadło, odbijające w sobie duszę narodową; ktoś inny wypowiadał tego rodzaju myśli w sferze poszukiwań historycznych, widząc w czynach dziejowych taką samą materyalizacyę nieuchwytnego ducha rasowego. Słowem, usiłowań nie brakło, ale nie było ręki, któraby chciała zaprowadzić w tej dziedzinie jakiś ład i usystematyzować pojedyncze idee w zwartą całość powiązanych wywodów. Le Bon daje obraz takiej możliwej całości, chociaż, niestety, z podjętego zadania wywiązuje się w sposób, mocno przypominający owego mechanika z bajki. Niema chyba rzeczy zrozumialszej nad politykę celną obecnej chwili. Wątpię, czy znajduje się ktoś, ktoby nie zdawał sobie jasno sprawy z pobudek, dla jakich cła zostały powołane do życia. Ale naszego uczonego podobne tłomaczenie nie zaspokaja. Buduje on całą teoryę, gdzie, zamiast interesu przedsiębiorców i łaknienia wysokich dywidend, występują na jaw inne sprężyny, owa mianowicie dusza rasowa. Każdy naród posiada duchowość odmienną, nienawidzącą nawzajem wszystkie inne i znienawidzoną przez nie. Dawniej wojna niezamaskowana była owocem tej wzajemnej odmienności, dzisiaj miejsce jej zastąpiło współzawodnictwo ekonomiczne, cła, walki na pięści robotników rozmaitego pochodzenia. Cła są zatem kryształem, który się osadził z ducha rasowego, niejako wcieleniem tej nienawiści, która rozognia się coraz bardziej i będzie się rozogniała w miarę tego, jak ludy odmienne zbliżają się do siebie i w takiem zbliżeniu rozpoznają całą dzielącą je otchłań psychiczną. Gdyby zaś ktoś rzekł le Bonowi, że poco szukać tak dalekich i metafizycznych sprężyn, gdzie działają namacalne i dla każdego zrozumiałe, napewno zmierzyłby on podobnego śmiałka pogardliwem spojrzeniem i może odpowiedziałby, iż nauka i uczeni po to istnieją, ażeby z muchy robić jelenia...

Przyjrzyjmy się treści jego wywodów. W głębi po za instytucyami, czynami, wierzeniami, twórczością artystyczną pewnego ludu, jako źródło wszystkich tych objawów, ukrywają się pewne właściwości moralne i intelektualne, nie widzialne dla oka, lecz niemniej istotne. Każda rasa, względnie każdy naród posiada takie stałe i trwałe znamiona duchowe, jak to ma miejsce w zakresie jego właściwości fizycznych. W zwykłym trybie życia z trudnością je dostrzegamy: dzieje się z niemi to samo, co nas spotyka przy wejściu do lasu, który wtedy niknie z przed oczu i rozpływa się w chaosie drzew. Podobnie poruszając się w jakimś narodzie, w bezładzie indywidualnych charakterów tracimy z widoku duszę ogólną z jej piętnami. Ale opuśćmy miejsce dłuższego pobytu i udajmy się do nieznanego kraju, a odrazu rzucą nam się do oczu takie ogólno-narodowe właściwości, które niebawem, przy dłuższej znajomości, znowu rozpłyną się w mozajce indywidualnej. Ażeby uchwycić duszę narodową, trzeba znaleźć odpowiednie stanowisko. Te znamiona duchowe, właściwe pewnej grupie ludzkiej, odznaczają się niezmierną trwałością: rasa duchowa przekształca się zwolna i wymaga na drobną zmianę bardzo długich okresów czasu, naturalnie o ile idzie o zasadnicze, podstawowe rysy charakteru. Duch bowiem plemienny składa się z mnóstwa nawarstwowań i dążności, są pomiędzy niemi trwałe, uparcie trzymające się i z trudnością ulegające wpływowi czasu— takich bywa niewiele i zawsze należą one do najbardziej ukrytych; są inne, drugorzędne, stworzone przez oddziaływanie otoczenia, nie przekazywane dziedzicznie, lecz utrzymywane dzięki warunkom, które wciąż zmieniają się i przekształcają. Oko zwykłe spostrzega tylko rysy tego ostatniego rzędu i na tej podstawie buduje bardzo oryginalne wnioski o zmienności psychologii narodowej. Ale jak ruchliwa toń wód, pomimo że w każdej chwili układa swoją powierzchnię w inne zmarszczki, mimo to zawsze posiada ten sam poziom, podobnie pod zmienną szatą drugorzędnych przypadkowych rysów charakteru naród posiada trwale trzymające się znamiona duchowe. Francuz z epoki konwencyi i cesarstwa, z czasów Ludwika XIV i obecnej chwili pozostał w głębi duszy tym samym francuzem, łatwo zapalnym do gadaniny, lecz mniej pochopnym do czynu, nawykłym do szablonu centralistycznego. W pojedynczym okazie pewnego narodu z trudnością odkryjemy te zasadnicze rysy; podstawowe i ważne zacierają się bowiem zupełnie w powodzi drobiazgów i szczegółów. Ale dość mieć przed sobą jakąś zbiorową masę, ażeby wtedy z łatwością wyłowić tę jednostajność ustroju umysłowego, posiadającą zresztą swoje źródło w tem, że wszyscy są w gruncie rzeczy spokrewnieni pomiędzy sobą: wszak w każdym z nas płynie krew aż 20 milionów współczesnych sobie osób z roku 1000 naszej ery! „Bądź co bądź, człowiek jest zawsze i przedewszystkiem okazem właściwej sobie rasy. Całość idej i uczuć, jakie przynoszą z sobą na świat jednostki pewnej grupy, stanowiły wspólne tło rasowe. Niedostrzegalna w swojej istocie, dusza ta uwydatnia się w swoich skutkach, gdyż w gruncie rzeczy rozstrzyga o całym rozwoju narodu. Rasę można porównać do ogółu komórek, składających się na jestestwo żywe. Te miliardy komórek posiadają trwałość nader nieznaczną, chociaż życie istoty, utworzonej z ich połączenia, jest względnie bardzo długie; każda z nich bytuje w sposób indywidualny — życiem osobistem, i zbiorowy — życiem jestestwa, w którego skład wchodzi. Rasę winniśmy zatem rozpatrywać jako istotę trwałą, wyższą po nad wpływy czasu. A istota ta składa się nietylko z osobników żyjących, lecz równie z długiego szeregu zmarłych. Ażeby zrozumieć czem jest rasa, trzeba ją przedłużyć sobie w umyśle daleko w przeszłość i w przyszłość. Liczniejsi w swoim zastępie aniżeli żyjący, zmarli są również bez porównania potężniejsi. Wszechwładnie panują oni nad dziedziną nieświadomego, nad tym niewidzialnym zakątkiem, który rozciąga swoją władzę nad wszystkimi czynami umysłu i charakteru. Ludem jakimś raczej rządzą zmarli, niż żyjący. Tamci powołali rasę do życia. Wiek po wieku stwarzali oni dzisiejsze nasze ideje i dzisiejsze uczucia, tj. wszystkie sprężyny

*) *Le rôle du charactère dans la vie des peuples* w *Revue scientifique*, 1894 N. 2, 317.

naszego postępowania. Zamierzchłe pokolenia przekazały nam nietylko swoją budowę fizyczną, lecz nadto swoje myśli. Pokutujemy za ich grzechy, odbieramy nagrodę za ich cnotę.“

A te tkanki, które w swojem połączeniu dały duszę rasową, stanowią nieodłączną przynależność odpowiedniej grupy narodowej. Jednostka pewnej rasy, pod działaniem bodźców zewnętrznych, będzie myślała, czuła i działała w sposób zgoła odmienny, aniżeli wzięta zpośród innej grupy, posiadającej odmienny skład duchowy. Z tego wypływa, że konstytucye umysłowe, zbudowane według typów zbyt różnych, nie są zdolne wzajemnie siebie pojąć i ocenić, ani przeniknąć się nawzajem. Niepodobna zrozumieć przejść historycznych, jeżeli zapomnimy o tej prawdzie, że odmienne rasy nie są zdolne do tego samego czucia, że o tej samej rzeczy inaczej myślą i innym na pobudkę odpowiadają czynem. Niewątpliwie różne ludy posiadają w swoich językach wspólne wyrazy, uchodzące za synonimy, ale bądź co bądź te jednakie znaki słowne rodzą w umyśle idee i ich powiązania, całkiem odmienne w każdym przypadku. „Należy pożyć niecoo wśród ludów, których skład umysłowy głęboko różni się od naszego, wybierając wśród nich tylko te jednostki, które mówią naszym językiem i nawet utrzymały nasze wykształcenie, ażeby ocenić przepaść, jaka przedziela sposób myślenia odrębnych narodów. Nie czyniąc dalekich podróży, możemy o tem powziąć pojęcie, zwróciwszy uwagę na głęboką różnicę umysłową pomiędzy mężczyzną i kobietą. Pomiędzy dwiema płciami mogą istnieć wspólne interesy, wspólne uczucia, ale niema jednakiego powiązania myśli. Mogą one rozmawiać w ciągu całych wieków i nie pojmą się nawzajem, gdyż są zbudowane według zbyt odmiennych wzorów, ażeby miały jednako odpowiedzieć na pobudki zewnętrzne.“

Otóż z tego źródła, i tylko z niego, Le Bon usiłuje wyprowadzić wszystkie procesy dziejowe, jakie odgrywały się pomiędzy odrębnymi narodami, a zatem walki rasowe, polityczne, religijne, wreszcie współzawodnictwo ekonomiczne wszelkiej formy. Jedna grupa zawsze usiłowała jakąś inną nagiąć do tego, ażeby czuła i myślała w podobny sposób, lecz te próby nigdy nie wydawały najmniejszego skutku i kończyły się wzajemnym zatargiem. Nie potrzebujemy chyba nadmieniać, że uczony francuski jest gorącym obrońcą tego poglądu, że wojny były, są i będą konieczną właściwością rodu ludzkiego; zaznaczymy tylko, iż posuwa się on jeszcze dalej, bo wprost pisze hymn ku ich większej chwale, dowodząc, że bez wzajemnego mordowania się ludzkość, oddawna by już zmarniała i zgniła w gnuśności i upadku charakteru. Nie wierzy też w braterstwo ludów. Jego zdaniem, od przyszłości należy się spodziewać tylko dalszego spotęgowania nienawiści rasowych, gdyż im nowoczesny rozwój bardziej zbliża do siebie różne ludy, tem silniej przeciwieństwa, tkwiące w umysłowości, występują na jaw i sprowadzają wzajemną zawiść.

Ale, jak wiadomo, dzisiejsze solidarności społeczne nie są czyste pod względem rasowym, gdyż wszystkie one przedstawiają zlepek najrozmaitszych typów. Mimo to zlepki owe mogą posiadać wspólną duszę, ale pod tym jednym warunkiem, ażeby w ciągu wieków krzyżowanie wzajemne wraz z oddziaływaniem otoczenia wywołały tożsamość uczuciową i umysłową. Mechanizm tego ujednostajnienia jest następujący. W każdej duchowości rasowej, jak wiemy, znajdują się, według autora, pierwiastki zasadnicze i drugorzędne; otóż te ostatnie ulegają zmianie, jedne z nich zostają zatarte, inne wygórowane, tak iż wśród ras odmiennych nastaje pewna jednolitość, spotęgowana jeszcze przez krzyżowanie. Chwila, w której zlepek rasowy zdobywa taką wspólną konstytucyę duchową, jest jednocześnie epoką rozkwitu danej grupy narodowej. po której prędzej czy później nastaje okres uwiądu plemiennego. I ludy umierają, tylko że ich śmierć nastaje zwolna i wkracza niepostrzeżenie. Odbywa się to w ten sposób, że do łona pewnego narodu zaczynają przedostawać się obce żywioły z innym składem duchowym, które wprowadzają rozprzężenie. Okazy pojedyncze przestają się nawzajem rozumieć, z odmiennego trybu myślenia wypływają niezgody domowe, aż wreszcie dokonywa się zupełny rozkład. Ale upadek, zawsze i wszędzie, tkwi właśnie w tem, że wśród danej grupy narodowej ukazały się obce mu pierwiastki.

Tak wygląda w najogólniejszym zarysie teorya Le Bona o charakterze plemiennym. Naturalnie, chcąc w krótkości oddać wywody, które w oryginale zajmują bardzo wiele miejsca, musieliśmy milczeniem pominąć mnóstwo ilustracyj i jeszcze więcej wycieniowań pewnej myśli, tak iż nasze sprawozdanie bardzo niedokładnie przedstawia obraz tego, co znajdujemy w pracy obrońcy duszy rasowej. Wspomnimy tylko, że dla uprzytomnienia, w jakim stopniu właściwości duchowe wpływają na bieg rozwoju historycznego, Le Bon bierze Amerykę: północna, znajdująca się w ręku anglików, poszła zupełnie odmienną drogą, aniżeli południowa, na której posiano wpływy hiszpańskie. Słowem, wpatrując się uważniej w jego teoryę, otrzymujemy z socyologii istotną chemię. Istnieją niezmienne względnie pierwiastki psychologiczno-rasowe, które w danem położeniu, odpowiednio do swojej natury, zachowują się w odpowiedni sposób. Tylko krzyżowanie stwarza z nich doskonałe ciało, którego dusza powstaje przez poplątanie się dusz części składowych. Dzieje takiego ciała, a zatem instytucye polityczne i społeczne, poglądy religijne, rola dziejowa i artystyczna, wszystko to nie jest dziełem zewnętrznych, materyalnych warunków, jak np. twierdzi szkoła ekonomiczno-historyczna, ale tylko objawianiem się duszy narodowej, podobnie jak żądze, których widownią jest nasz organizm, stanowią podobny wyjaw naszej jaźni. Ale ciało to, żeby mogło stworzyć naród, musi przestać być zlepkiem mechanicznym i stać się jednością chemiczną. Wreszcie nastaje chwila rozkładu — jedne pierwiastki wydzielają się, inne napływają. Instytucye poczynają być napastowane, stare wierzenia wahają się, rozprężenie duchowe przedostaje się z myślą krytyczną na wszystkie pola działalności społecznej. Kompletna chemia w zastosowaniu do historyi! Ale czyż pogląd taki jest zgodny z naturą rzeczy? Ażeby wykazać słuszność i niesłuszność w wywodach Le Bona, ażeby dowieść mylności jego poglądów, trzeba byłoby pisać rozprawę dłuższą, niż jego. Z konieczności zatem musimy poprzestać jedynie na przedstawieniu jego poglądów, ażeby czytelnik miał przed sobą skończony całokształt pewnej doktryny. Od siebie tylko uczynimy wzmiankę, że ludy, lubo każdy posiada właściwą sobie fizyognomię duchową i lubo są jednostki, niezdolne wzajemnie siebie zrozumieć z powodu odmienności swojej organizacyi duchowej, że ludy zgoła nie są ciałami chemicznemi i przebieg dziejowy jedynie procesem ujawnienia ich psychologii. Przeciwnie, sama psychologia jest tworem stosunków zewnętrznych aż w nazbyt silnym stopniu.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Andrew Lang: *Essays in Little*. Londyn, 1893 (Henry and C-o). — Wyznania pani Jane Clermont.

Andrew Lang, znany krytyk angielski, wydał zbiór szkiców „w miniaturze,“ zawierający pośród wielu innych nader udatne studya o R. Kiplingu, Stevensonie, Kingsleyu; a także jeden ogólny o współczesnej „fashionable“ powieści w Anglii. Kipling — jego charakterystykę podaliśmy niedawno — jest, zdaniem autora, wytworem naturalnym epoki bieżącej. „Obudził się w nas — powiada — apetyt do literatury egzotycznej. Kraje, znajdujące się po za granicami Europy i Stanów Zjednoczonych, wywierają teraz dziwny jakiś urok. Pochodzi to zresztą wyłącznie stąd, iż ludzie wyobraźni i talentu stali się zdobywcami, Kortezami i Balboami Indyj, Afryki, Australii, Japonii i wysp oceanu Wschodniego. Wszyscy ci artyści, czy piszą z wytwornością Piotra Lotti, czy też z niedbalstwem Boldzewooda, widzieli nowe światy na własne oczy; opuścili ulice naszych miast przeludnionych, aby szukać świeżego powietrza zdala od mgieł, kurzu i dymów. Ich mózg i krew zaczerpnęły sił nowych: stąd oryginalność i żywotność ich powieści. Trzeba ich zaliczyć raczej do romantyków, niż do realistów, jakkolwiek realizm jest cechą charakterystyczną ich tworów. Widzieli i mają do opowiedzenia takie mnóstwo rzeczy najrozmaitszych, iż użycie mikroskopu, ani też zbytniej analizy wcale ich nie wabi.“

Istotnie, pośród wielu oznak, które czynią naszą epokę podobną do okresu początków romantyzmu, nie ostatnie miejsce zajmuje chęć ucieczki od rzeczywistości. We Francyi opanowała ona nietylko literaturę dekadencką, ale także realistów najczystszej krwi, jak Huysmans, Hennique, Thierry, Poictevin, uciekających w świat dyabelstwa, szału i neuropatyi, przedstawianych zresztą na zasadach, o ile można, naukowych. Jest to romantyka w pełnej zbroi guseł i czarów — tylko że umysł jeszcze chwilowo nie zupełnie zatonął i broni wszechpotężnych niedawno swych praw. Utwory Huysmansa (w rodzaju „Là-bas“), Peladana, Albera Jhouneya, są poetycznym chrztem tych samych wiedźm i czarów, który romantyka odprawiała przed stu laty w balladach Bürgera, Seidlitza itd. Charakterystycznem dla nastroju naszej epoki jest to, iż nawet *Revue des deux mondes*, znajdująca się obecnie pod kierownictwem Brunetière'a, który bynajmniej nie jest pobłażliwy dla cudackich wybryków, pomieszcza takie właśnie powieści. Przejrzyjcie np. w pierwszych numerach tego roku słynnej *Revue* romans Gilberta A. Thierry p. t. „Le Masque“: wszak to majaczenie waryata, pełne dreszczów, konwulsyj, dziwów, cudów i guseł?

W Anglii ucieczka od rzeczywistości, oprócz takich samych znamion, wyraża się jeszcze w odrodzeniu powieści przygód i archeologicznej. Pierwszy kierunek wyraża się głównie w utworach L. Stevensona i Kiplinga. Stevenson wskrzesza tradycyę szkoły W. Scota: jego bohaterowie to także rozbójnicy lądów i mórz. Główny utwór autora „Treasure Island,“ uważany przez niektórych za arcydzieło, przedstawia historyę skarbu zakopanego na samotnej wyspie przez korsarzy. Już po tem można sądzić, jak daleko jesteśmy od tematów realizmu. Ten ostatni pozostawił

tu wszelako ślady niezatarte. Huysmans maluje obrazy szatanizmu na podstawie wszystkich danych psychologii, Stevenson stara się otoczyć swe powieści rozbójnicze wszystkiemi danemi prawdopodobieństwa, a głównie moralności. Pomiędzy piratami romantyków a Stevensona jest cała otchłań. Tamci czynili z nich bohaterów, wobec których sens moralny milknął, pozostawiając miejsce tylko dla podziwów. Stevenson daje zwykłych, odstręczających galerników. Nie powiemy zresztą, aby prawda wiele na tem zyskała. Sympatyczni korsarze nietylko Byrona, ale W. Scota i W. Hugo, byli do pewnego stopnia wcieleniem protestu przeciw krzywdom i niesprawiedliwościom społecznym. Dla mieszczańskiego Stevensona rozbójnik jest ściganym przez prawo przestępcą, zasługującym na wstręt i wzgardę „porządnych ludzi.“ Po za tem zresztą bohater wyżej wymienionej powieści Stevensona, John Silver, jest odważnym wodzem i dobrym towarzyszem. Autor stara się o ile można pozostawać na gruncie czysto realnym, a jeżeli jego rozbójnicy mają temperamenty z ognia i charaktery z żelaza, to innym osobom nie brak codziennej pospolitości. Znajdziecie tu i typ angielskiego gentlemena, szczyt lojalizmu i ograniczoności, odważnego majtka, zakochanego w morzu i obowiązku, zręcznego lekarza, który jest, rozumie się, pełen poświęcenia. Język Stevensona jest czysty, często nawet wytworny. Jest to wogóle pisarz wielkich zalet — dla młodzieży.

Loti w swych pogoniach za całusami, które zbiera po wszystkich kątach świata, zdradza odrobinę „Weltschmertzu,“ a uważna lupa odkryć w nim może nawet żyłkę byronizmu. Zachodzi jakieś tajemnicze pokrewieństwo między naszą wyobraźnią a naskórkiem nieznanych kobiet, rozrzuconych na całej przestrzeni pomiędzy biegunami: jasnych norweżek, błądzących w fjordach, gdzie morze oddycha po nawałnicach w brzegach misternie rzeźbionych, które są jakby puhary bogów północnych — bronzowych hawajanek, które jak wulkany dymią wciąż chmurą czarnych włosów, z pod których sypią iskry — jakże chętnie możnaby się węglić na tych płonących stosach!—spokojnych cór Egiptu, o spłaszczonych nozdrzach, cynicznych wargach i okrutnych uśmiechach, sfinksów, wężów — i tylu, tylu innych!

Kto sądzi, że człowiek współczesny po kilkudziesięciu wiekach cywilizacyi zamienił się na spokojnego „Familienvatera,“ mocno się zawodzi: on, w osobie największych swych poetów, marzy o życiu, jakie pędzili królowie mórz na wielkich falach, pod żaglem, który się chwieje i szarpie, lub na ucztach, gdzie pito miód z czaszek wrogów, podczas gdy ocean napełniał przestrzeń wielkiem swem łkaniem. Te dzikie żądze Byronów, Swinburne'ów, Nietzsche'ów szemrzą głucho — gdyż ryczeć nie śmieją — w sercu każdego z nas: masą błędnych żądz, obawą zależności, miłością wielkich gór, które są jak nawałnica zastygła, i morza, które jest jak sztandar, gdy wicher dmie, to znowu jak piekło. Te niezaspokojone popędy szemrzą w nas wiecznym acz głuchym żalem. Można go odszukać w pismach Lotiego, w daleko mniejszym stopniu u Kiplinga, który jest nadzwyczaj uspołeczniony. Jest u niego raczej smutek, wiejący z wielkich horyzontów, które oglądał. Anglicy głównie są zachwyceni obrazami żołnierza w Indyach, które on maluje. Jego Ortheris i Mulvaney — to typy znane teraz wszędzie, gdzie się rozlega mowa angielska. Właściwie jednak najbardziej interesujące są opisy odległych krańców cesarstwa, nieznanych obyczajów tamtejszych plemion, cudów i mistycyzmu wschodniego. „Gdy utracimy Indye — powiada Lang — gdy znowu władza panować będzie tam, gdzie panowaliśmy, gdy nasze cesarstwo pójdzie śladem cesarstwa mongołów, przyszło pokolenia dowiadywać się będą z dzieł Kiplinga, czem były Indye za czasów angielskich. Było to niespodzianką dla naszej literatury, gdyśmy spostrzegli te drobne arcydzieła rozrzucone z wspaniałością prawie królewską w kolumnach dzienników anglo-indyjskich. Tam uważano je za ładne i nic więcej: stanowiły one cząstkę plotek tygodniowych. Prawda, tematy ich były tak znane, iż nie zwracano prawie uwagi na żywość akcyi i piękność kolorytu. Ale, gdy się pojawiły w Anglii, czytelnicy nie wątpili, że mamy przed sobą początek nowej żyły literackiej: tyle dziwów, rozmaitości, koloru i zapachu wschodniego miały w sobie te książki.“ Sądzimy, iż powodzenie swe Kipling zdobył głównie realistycznem opracowaniem tematów romantycznych. Wiele objawów każe przypuszczać o tej zmianie nastroju i smaku publicznego. Między innemi to, iż Byron wchodzi obecnie stanowczo w modę. Z pomiędzy licznych studyów i szkiców wybierzmy jeden.

(D n.)

L. W.

ODCZYTY.

Maryan Gawalewicz, *Królowa niebios*.

Obrazy Stachiewicza, które przed paru miesiącami budziły tak wielkie zainteresowanie w Warszawie, były bodźcem dla Gawalewicza do opracowania tekstu, który wraz z rysunkami powyższego malarza stworzy ozdobne wydawnictwo. Temu właśnie przypisać można ową niezwykłą w literaturze odczytowej formę artystyczną, zachowaną pod każdym względem: w przepełnionym poezyą temacie, w rzeźbieniu stylowem i w dykcyi mówcy. Autor zbudował swój utwór na niezmiernie bogatej fantazyi, snutej przez wieki. Barwna i długa nić podań o Matce Boskiej przeniknęła do ludu, ale nie wprost, nie powstała samodzielnie w jego umyśle, przesądnym, pogańskim i jednocześnie przerośniętym chrześciańską wiarą ślepą. Garść tej przędzy prelegent snadź bardzo ukochał i być może dlatego radby w niej widzieć dzieło ludu. O wiele wszakże polot tego ostatniego zmniejszy się, gdy zaznaczymy, że spora część owych legend o „Królowej Niebios“ to apokryfy, które lud przyjął jako materyał gotowy i tylko przeinaczył go nieco, ubarwił własną rzeźbą wedle swego poziomu, pojęć i zwyczajów. Stąd wszystkie pozornie noszą charakter swojski, jak np. między innemi legenda o narodzeniu Jezusa w szopie kmiecej.

Więcej istotnej samodzielności i swojskości można przypisać legendom i przypowieściom, wkraczającym w sferę spraw codziennych, w sumę spostrzeżeń zwyczajowych, gospodarczych itd. Na każdym kroku życia powszedniego lud widzi rękę i siłę, dobroć i opiekę „Przeczystej.“ „Najświętsza Panna stadła łączy i jasną dolę im rozdziela; bez Niej nie byłoby wesela, bez Niej nie byłoby radości, gdyby choć słonka promyk złoty od siebie nie przysłała w gości do takiej wybielonej chaty, z której dziewuchę biorą swaty...“ „W niebie z soboty ku niedzieli cudna woń róż i lilii bije: to Maryi znoszą je anieli, a ona z kwiatów wianki wije i, ogrodniczka boża, z wieńców śle dary swe dla ulubieńców.“ Powszechnie znane jest wierzenie ludu w „sobotni promień,“ tj. że w każdą sobotę musi choć na chwilę błysnąć słonko i duszę rozjaśnić matkom i dzieciom, a to dlatego, że Matka Boska za dziecięcych lat Jezusa w dniu tym „giezłeczka prała dla swojego syna i sama one suszyła na słonku.“ Owe jesienne nitki pajęczyny, to także ręką Królowej niebios rozsiane: „płynie jako przędza i zamiast berła prostą kądziel trzyma. Idzie prząść białe nici na płótno bieluchne, aby zmarłe dzieciczki, co jeszcze nie mogą dostać się do nieba, gdyż bez chrztu umarły, miały ciepłe odzienie.“ W jesiennych blaskach snująca się przędza, kogo się czepi choć jednem pasmem, ten w dniu owym bywa szczęśliwszym i pogodniejszym. We wszystkich legendach, gadkach, przypowieściach przebija się ogromna cześć ludu dla Matki Boskiej, niezmierny zachwyt dla dobroci orędowniczki cierpiących: „Gdy Bóg ciężko rozgniewał się na ludzi za ich grzechy, zesłał na ziemię głód i suszę — mówi jedna legenda;—Matka Boska, widząc męki głodowe, zapłakała cicho, a każda jej łza stawała się ziarnkiem grochu, które kiełkowało i pleniło się dla głodnych.“ Wielką opieką otacza sieroty: „We śnie do nich przychodzi i smutne pociesza i o zmarłych rodzicach posyła im wieści i troszczy się tak niemi, jak matka łaskawie, a nieraz schodzi nawet do nich i na jawie.“ Ale po za ludźmi „Ona się światem troszczy dobrotliwie, muszką w powietrzu, drobną rybką w rzece, ptaszyną małą z pisklęty drobnemi, nawet robakiem, co wypełza z ziemi.“ Wilki żarłoczne drżą przed Matką Boską. Na „Gromniczną„ „Panienka święta staje im na drodze z gromnicą w ręku, wśród tumanów śniegu i wilcze stada zatrzymuje w biegu.“

Nie ludowe już są fantazye na temat biblijny; tu się przebija bujna wyobraźnia Wschodu, szeroki jej rozmach, tak szeroki i wybujały, że go kanon wykluczył z ram Pisma świętego. Tu należą wzorzystą przędzą tkane obrazy o Antychryście, o piekle, niebie i czyśću itd. Posłuchajmy paru urywków: „Ongi ta ziemia bowiem była czysta, biała jak kreda, jak kryształ przejrzysta; więc kędy tylko dłońmi skrwawionemi zagrzebał Kain ciało Abla w ziemi, wszędy trup widniał ze szklanego grobu, że skryć go całkiem nie było sposobu. Więc zaczął Kain kląć tę ziemię białą, że jego zbrodni utaić nie chciała... Wtedy od klątw tych ziemia pobzerniała...“ Takich legend, a przynajmniej w takiej formie, lud nie snuje, lecz bardzo często wciela je do skarbnicy swej fantazyi i ubiera po swojemu.

Z masy legend i podań, które różnemi drogami pod strzechę kmiecą się przedarły lub tam samorodnie powstały, Gawalewicz wydobył garstkę pereł, skąpał je w poezyi, w piękny język przystroił, dał formę rytmiczną, obrazy, odpowiednio do ich rodzaju i barwy, ubrał w wiersz rymowany lub biały, różnej miary i tym sposobem stworzył całość wielce harmonijną i ładną; może tylko zanadto obarczył ją legendami pobocznemi, niezupełnie pozostającemi w związku z głównym przedmiotem.

Zn.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Wystawy: Akademiczna i zrekuzowanych. — Księga: *Charitas* — wydana przez Towarzystwo Dobroczynności.

Chłopak dwunastoletni R. przez wdzięczność, żem mu w swym czasie doryweczo objaśniał, jak należy przystąpić do nauki rysunku, podarował mi swojej własnej kompozycyi i pędzla widoczek, należący do kategoryi akademickich. Widzimy tu dwie liche chałupy, kilka krzaków i błotnistą przyprószoną śniegiem drogę.

— Czy to jest kopia, czy natura? — zapytałem.

— Ani kopia, ani natura... Z jednego obrazka malowałem drogę, z drugiego z małą przeróbką krzaki, z innego znów domki.

Uradowany uściskałem chłopaka i zawołałem:

— Będziesz geniuszem!

Na wystawach wszystkie widoki porównywałem z moim obrazkiem; tym sposobem posiadałem nieomylny probierz: lepsze — nazywałem dobrymi, gorsze — nieudolnymi.

Bezwątpienia, taki probierz jest żartem, a jednak gdyby mój obrazek, oprawiony w ramki należyte, umieścić w liczbie innych na jednej z wystaw, wyglądał by wcale dorzecznie, zaś na wystawie *damskiej* zająłby zaszczytne stanowisko, co znowu dowodzi, że widoki, ażeby mogły się nazywać artystycznymi, wymagają nie tylko samego kopjowania z natury, lub studyów, ale jeszcze ożywienia całego tła czemś takiem, coby odznaczyło artyzm od kompozycyi dwunastoletniego chłopaka R. Na nieszczęście, iskier talentu tak mało, a obrazów tak wiele!

Tak np. na wystawie Akademickiej p. Kryżycki umieścił kilka obrazów pod nazwą: Czerwiec, Lipiec itd. do Grudnia. Do kalendarza, jako ilustracye, wcale by się przydały; trzebaby tylko dorzucić rozmaite atrybuty wioskowe. Wogóle co się tyczy widoków, niepowszednich jest zaledwie kilka, możemy wymienić np. Sewastianowa: „Pod jesień“ i pani Fedorowej „Za okolicą.“

Nowoskolcew dał duży obraz pod nazwą: „Opryszki w domu obywatela.“ Chęci dobrych u artysty było wiele: słynni rzezimieszkowie napadli dom, starych skrępowali, córkę ich zgwałcili, połamali sprzęty i wychodzą. Szkoda, że zadanie przewyższyło siły artysty. Zemdlona, obnażona dziewczyna, leżąca wśród pokoju, podobna raczej do woskowej figury, niż do żyjącej istoty — i wogóle grozy, gwałtu nie czuć ani krzty, chociaż kompozycya wcale udatna.

Lepszy i żywszy obraz Saksena: „Pierwszy list miłosny.“ Kwiaciarki porwały u dziewczęcia — uczenicy — list i czytają go... Juźci z uśmiechem pobłażania, szyderstwa i zaciekawienia, a dzieweczka stojąc u drzwi płacze. Oblicze ukryła w chusteczkę — nie psuje to jednak wrażenia, owszem dodaje wdzięku i prawdy.

Dukszta-Dukszyńska przedstawia obrazek staruszki — może to jest portret? W każdym razie rzecz pociągająca i ładna. Wywiorski nazwał swój obraz: „Zabili kabana.“ Kilku chłopów białoruskich wywleka z lasu dużego dzika, tuż za nimi idą myśliwi. Więcej nic nie możemy powiedzieć. Być może artysta szkicował obraz z natury, ale duch Nemroda umknął przed nim. Podobny doń z kompozycyi, ale bogatszy jest wizerunek Gałkina: „Rybacy na rzece Wołchowie.“ Flegmatyczne oblicza, leniwe ruchy, wszystko to są rzeczy znane, a jednak cały obraz tchnie poezyą.

Bakałowicz dał aż trzy nieduże obrazy: jeden z nich, przedstawiający młodego rzymianina w zadumie na marmurowej ławie, jest ozdobą wystawy.

Oddział rzeźby dosyć bogaty, posiada bowiem 38 wizerunków, czyli prawie czwartą część obrazów — stosunek niebywały. I tutaj pięknych rzeczy niewiele, ale są. Bach wyrzeźbił dużą postać Chrystusa. Juźci równać Bacha z Antokolskim, herezya, a jednak oblicze Chrystusa w rzeźbie Bacha jest bardziej chrystusowem niż u Antokolskiego i sprawia wrażenie dodatnie. Ładny i pełen siły św. Andrzej Madejskiego, zaś św. Barbarę męczenniczkę Meklemiszewa, która wielu znawców w zachwyt wprawia, ośmielę się zaliczyć do powszedniejszych tworów. Ładna to rzecz, ale ducha w niej nie wiele, szczególnie zaś nie można dostrzedz siły, cechującej dzieje tej słynnej z hartu niewiasty. Timus wyrzeźbił anioła upadłego czyli demona — widocznie po to, ażeby dać wzorek, jak nie należy przedstawiać sobie tej ciemnej siły. Tutaj staje przed oczy Duch wygnania Antokolskiego: nagi, zadumany, pełen grozy i tajemnicy — i szepcze: panie Timusie, nie naigrawaj się!..

Ober dał aż trzy rzeźby: dwie z nich, mianowicie Rejneke—lis z kogutem i Androklus ze lwem są dosyć mierne, za to trzecia alegoryczna grupa przedstawiająca „Klęski,“ sprawia głębokie wrażenie: Języki płomienia mkną po polu, zwijają się i tworzą podstawę, na której mieści się smok z ogonem uzbrojonym w żądło i z dziobem sępa, maluczka główka potwora ma w sobie coś szatańskiego, krwiożerczego. Na smoku umieścił się kościotrup z kosą w lewej ręce, prawą zaś rozwartą wyciągnął po nad ziemię i zdaje się gotów dusić wszystko, co się nawinie. Obok kościotrupa mknie obraz głodu: apokaliptyczna bestya z ciałem psa wychudłego, głową potwora, łapami dużemi, tygrysiemi. Straszniejszy jest od pożaru, od smoka i nawet od samego kościotrupa. Cały ten wizerunek, również jak wśród badaczów młodzieniec Bakałowicza, góruje nad innemi rzeźbami.

Co się tyczy wystawy zabrakowanych przez Akademię obrazów (na ulicy Morskiej), pomimo korzystnego uprzedzenia dla niej, muszę wyznać, że smutną jest. Logika wymagała, ażeby wybrakowani przyjęli wszystko, co odrzuciła Akademia, nie dziw więc, że można tu widzieć rzeczy przerażające. Juźci są okazy i wcale dobre, nie mogą jednak zatrzeć przykrego wrażenia i widz wychodzi przygnębiony. Tacy artyści, jak Klemer, Suchorowski, Stepanow, Sacharow, Ciągliński i kilku innych, niedorzeczności krzyczącej nie mogą popełnić, ale najlepsze ich prace, nieożywione zresztą żadną wyższą ideą, nie zagradzają czasu straconego na oglądanie dziwolągów.

Zresztą co do p. Ciąglińskiego, zauważyliśmy, że stanowczo przerzuca się do impresyonistów; są też u niego widoki malowane kuglarskim sposobem, to jest kilku pociągnięciami pędzla. Powiadają, że do takich obrazów widz powinien przystosować się, to jest wyszukać pewne stanowiska, a ujrzy prawdę i piękno. Szukałem troskliwie takiego punktu, ale napróżno. Zresztą zauważyłem na suficie dużą muchę, która widocznie zahypnotyzowana pięknem, nieruchoma przypatrywała się owym dziwnym obrazom. Bezwątpienia tam mianowicie — na suficie było owe zaklęte miejsce, skąd niedbale rzucone plamy przekształcają się na prace Rafaelowskie. Bądź co bądź, szkoda, że p. Ciągliński jest zwolennikiem samego natchnienia. Słyszałem, że geniusz tworzy się z talentu i pracy, same zaś strzępy talentu, rzucane dorywczo, bezładnie, chyba nie wyniosą artystę nad poziom — a szkoda!

Wybitnych rzeczy na tej wystawie stanowczo niema i obrazek chłopaka R. mógłby tu rywalizować na dobre.

Towarzystwo Dobroczynności wydało dużą zbiorową księgę pod nazwą *Charitas*. Jest to, jak zwykle zbiorowe rzeczy, mozaika, ale poważna i zredagowana misternie. Na skromnem szarem tle artyści utworzyli freski z kamyków przeważnie karmazynowych i niebieskich. Wśród nich tu i owdzie połyskują iskierki poezyi, w takiej zresztą ilości, że wzroku nie psują. Przeczytać tę księgę nie tylko wypada, ale trzeba. Pomówimy o niej.

N. B.

Z POZNAŃSKIEGO.

7 maja.

Nowa spółka parcelacyjna. — Bank włościański. — Emigracya robotników rolnych. — Burza prasowa na Szlązku. — Komisya kolonizacyjna. — Zmiana nazw.

Przez samo swe istnienie ustawa o włościach rentowych powołała do życia kilka instytucyj społecznych, które przynieść mogą nieobliczone dla rolnictwa korzyści. U nas niewątpliwie pierwszorzędną rolę w tym zakresie odegra świeżo zawiązana „Parcelacyjna spółka rolników.“ Przewodnią myślą tego Stowarzyszenia była zasada: „dania możności rolnikom, posiadającym drobne kapitały, zakupna i parcelowania pomiędzy siebie większych posiadłości ziemskich“; przez pośrednictwo tejże spółki: „ochranianie rolników, chcących nabywać parcele, od wyzysku tak bardzo praktykowanego w zakresie interesów parcelacyjnych, podejmowanych przez prywatnych przedsiębiorców.“

Dotychczasowy system zakupowania ziemi do parcelowania bez poprzedniego zebrania grona ludzi, mających chęć nabycia okazał się zgubny, gdyż wywołuje podrożenie ziemi dla osadników. Działka za drogo kupiona nie daje żądanej renty. Stąd też zrodziła się niechęć do składania, ciężko zapracowanego grosza w ręce spekulacyi, a podaż majątków na parcelacyę niezmiernie się powiększyła. Tym niedostatkom właśnie zapobiedz ma „Spółka.“ Wyklucza ona już z góry wszelki charakter spekulacyjny w swych przedsięwzięciach i uznaje przewodnictwo „Banku ziemskiego,“ jako instytucyi powołanej przez całe społeczeństwo do regulacyi naszych stosunków ziemskich. Program „Spółki“ zamyka całą jej działalność w jasnych i dobitnych zarysach. Brzmi on tak:

1) Będziemy gromadzić i wyszukiwać we wszystkich sferach społecznych ludzi pragnących nabywać folwarki, a więc wśród osadników gospodarczych, rzemieślników dominialnych, kowali, stelmachów, wśród włościan, pragnących powiększyć swoją posiadłość, tudzież między włodarzami i ludźmi roboczymi, którzy są pozbawieni zajęć swego zawodu, wskutek rozbijania się wielkiej własności.

2) Na zasadzie zdeklarowanych życzeń i funduszów przez pragnących nabywać parcele, przystępować będziemy do zakupna ziemi i w duchu prawa rentowego parcele będą wprost przelewane na osadników przez sprzedającego ziemię.

Działalność tedy „Spółki“ wyklucza pośrednictwo przy parcelacyi, zmniejsza jej koszty i wyszukuje osadników wśród sił miejscowych.

Gdy tak powstaje nowa instytucya parcelacyjna, inna, mająca już w tym kierunku wyrobioną opinię, wycofuje się z niego. Mam na myśli Bank włościański, którego walne zebranie odbyło się z końcem ubiegłego miesiąca. Parcelowanie większych posiadłości ziemskich stało się dla wielu właścicieli rzeczą pożądaną, ale przeprowadzanie go trafia zwykle na przeszkody w nadmiernem odłużeniu majątku. Tylko posiadłości na subhaście nabyte za mierną cenę dają często łatwość podzielenia ich z korzyścią pomiędzy osadników“ — mówi sprawozdanie dyrekcyi. Otóż to usunięcie się Banku potężnie poprze działalność „Spółki,“ która bez współzawodnictwa będzie mogła tem skuteczniej się rozwinąć.

Dwanaście tysięcy mężczyzn i kobiet, młodzieńców i dziewcząt opuściło w połowie kwietnia księstwo Poznańskie i podążyło w różne strony Niemiec do pracy w polu i żadna siła nie zdoła ich od tego powstrzymać, bo nie ma zarobku w domu. W grudniu r. 1893 zgłosiło się do ks. Ja-

skólskiego, jako członka rady Bractwa św. Izydora, dziewięciu włodarzy wychodzących od lat kilku do Niemiec na pracę, zaopatrzonych w dobre świadectwa. Każdy z nich miał 150 robotników lub robotnic i wszyscy pragnęli dostać zajęcie na miejscu. Jakkolwiek byli oni znakomicie wyćwiczeni w robotach koło uprawy buraków, nie mogli się tutaj utrzymać i prócz jednego, poszli do Niemiec. Czyż można się dziwić, że prowincye nasze stosunkowo największy dostarczają procent wychodźctwa zamorskiego? Dość powiedzieć, że w r. 1892 i 1893 wyemigrowało z Prus zachodnich i Poznańskiego 2,689, a w tymże czasie z Saksonii tylko 188!

Na Szląsku znowu pojawiła się mała różnica zdań. Po klęsce, jaką poniosła w styczniu grupa centrum szląskiego przy sposobności wyborów do parlamentu niemieckiego w powiecie prądnickim, spokój dotychczas nie nastąpił, lecz zawrzała zacięta walka na... pióra. Urzędowy komitet wyborczy nie chce przyznać się do popełnionego błędu i woli szukać kozła ofiarnego. Tym razem los padł na „Katolika," którego pomawiają o zdradę „wspólnej katolickiej sprawy" i wyrzucają mu, że podczas walki kulturalnej odbierał chętnie z kasy centrum hojne zasiłki, a dzisiaj w krytycznej chwili opuszcza niegodnie dotychczasowych sprzymierzeńców. Ktoby przypuścił, że pół roku temu też same pisma stawiały „Katolika," jako wzór do naśladowania „Nowinom Raciborskim" i „Gazecie opolskiej."

Majątek Przecław, w powiecie obornickim położony, o obszarze 654 h., przeszedł w ręce komisyi kolonizacyjnej. Sprzedał jej tę wieś p. Błociszewski, jakkolwiek położenie materyalne nie zmuszało go wcale do tego.

Nazwę naszego Lipna pod Lesznem, które dotychczas nosiło nazwę niemiecką „Leipe," zmieniono ponownie na „Leiperode.

ł. z.

OGRANICZENIA
W ORGANIZACYI UBEZPIECZEŃ NA ŻYCIE.

Idea ubezpieczeń na życie, tkwiąca śród społeczeństw jeszcze w czasach starożytnych i przechodząca różne postacie w czynie, znalazła najprzyjaźniejszy grunt dla siebie w epoce obecnej. Od dawien dawna wszakże sarkano na liczne nadużycia i czynniki niemoralne w tych operacyach. Dawniej w owych przedsiewzięciach były zaiteresowane rządy, szczególnie od chwili (w końcu w. XVII), gdy lekarz włoski, Lorenzo Tonti, dla zaradzenia niedomaganiom pieniężnym skarbu obmyślił system pożyczek państwowych, znanych pod nazwą *tontyny* *). Obecnie zaś operacye tego rodzaju doprowadzają przedsiębiorców prywatnych do gorączki spekulacyjnej. Znane są ich różnorodne środki przyjęty za pomocą obliczeń bardzo złudnych, niepewnych i niejasnych. Otóż działalność owa w państwie ruskiem zwróciła uwagę sfer ministeryalnych, które w obecnej chwili zapomocą odpowiednich rozporządzeń rozwinęły środki przeciwdziałające. Tymczasowo chodzi o należyte unormowanie operacyi towarzystw w zakresie ubezpieczeń na życie z udziałem w zyskach. „Asekuracya życiowa, będąc jednym z najistotniejszych sposobów zabezpieczenia dobrobytu jednostek, a nadto oparta na bardzo złożonych obliczeniach matematycznych, wymaga do stopniowego swego rozwoju — szczególnej troskliwości i ostrożności." Takie jest zapatrywanie władz ministeryalnych, które obrawszy ów pogląd za punkt wyjścia, postanowiły usunąć wszelkie zboczenia, do których szeregu należy między innemi wprowadzenie przez Towarzystwa w praktyce różnorodnych sposobów zwracania uczestnikom w postaci zysków nadwyżki pobranego premium. Sposoby te, oparte na zasadzie współzawodnictwa, obliczone są tylko na chwilowe powodzenie; w gruncie zaś rzeczy wprowadzają chaos w pojęciach uczestników co do prawdziwego znaczenia ubezpieczeń kapitałów pośmiertnych i dochodów. Oto, co mówi w tym przedmiocie *Prawit. Wiest.*: „Szczególnie szkodliwy wpływ na zaufanie uczestników może mieć system podziału zysków pomiędzy zaliczonymi do jednej i tej samej grupy i pozostającymi przy życiu po upływie pewnego czasu. System ten, niemający nic wspólnego z ubezpieczeniem na życie i ze względu na wielce powikłane wyliczenia nie poddający się faktycznej kontroli, najbardziej jest pociągającym dla uczestników, ponieważ wznieca w nich rzadko urzeczywistniającą się nadzieję, że w razie dożycia do pewnego terminu, można się wzbogacić kosztem przedwcześnie zmarłych uczestników tej samej grupy. Rozczarowania, mogące dotknąć osoby, zachęcone zapewnieniami szczególnej zyskowności tego rodzaju ubezpieczeń, będą miały niewątpliwie ten skutek, iż wywołają opóźnienie w rozwoju asekuracyi na życie, skutek tem dotkliwszy, im większa liczba weźmie udział w ubezpieczeniach, z nadzieją otrzymania znacznych sum w formie nagromadzonych zysków." Dla usunięcia tego hamulca, na zasadzie uchwały komitetu ministrów (Najwyżej zatwierdzonej d. 6 b. m.), postanowiono bezwarunkowo zabronić wszystkim działającym w Rosyi towarzystwom ubezpieczeń, krajowym i zagranicznym, zawierania dalszych umów z udziałem w zyskach, gromadzonych przez pewien ściśle określony czas na koszt pewnej grupy uczestników (operacye tontynowe i półtontynowe), a natomiast zezwolić na ubezpieczenia z udziałem w ogólnych zyskach towarzystwa, nie inaczej wszakże, jak z warunkiem corocznego wydawania owych zysków uczestnikom, po upływie już trzech lat wnoszenia składki asekuracyjnej. Rozporządzenie to wszakże wyklucza zawarte dotychczas umowy na zasadzie nagromadzenia zysków, które obowiązują do upływu oznaczonych na polisach terminów.

W związku z powyższem rozporządzeniem krąży pogłoska, że towarzystwa zagraniczne zamierzają ograniczyć swoją działalność w Rosyi.

Reforma, wyłuszczona w niniejszej notatce, ma wpłynąć korzystnie na prawidłowy rozwój ubezpieczeń, tudzież powstrzyma działanie spekulacyjne. W Niemczech ubezpieczenia, oparte na zasadzie wzajemności i jawności działania, doszły do szerokiego rozwoju. Najsilniej atoli asekuracya życiowa rozrosła się w Ameryce (w r. 1890 ogólna suma zabezpieczonych kapitałów wynosiła prawie 4 miliardy dolarów), następnie w Anglii, potem dopiero w Niemczech i Francyi, zajmującej w Europie trzecie miejsce z kolei. Wszystko to dowodzi, jak dalece ta forma ubezpieczeń stała się potrzebą społeczeństwa i jak z nią liczyć się należy. Podczas atoli gdy w powyższych państwach rozwój ich posuwa się stale i dosięga znacznych rozmiarów, w Rosyi ubezpieczenia na życie przedstawiają ogólną sumę 151 milionów rubli na 108 milionów ludności. Gdy więc organizacya otrzyma nowe tory, można mieć nadzieję, że popłynie ona z taką wartkością, jak na Zachodzie.

P.

*) Rząd, w zamian za złożony mu na własność kapitał, zobowiązywał się do płacenia swym wierzycielom pewnego dochodu stałego, czyli renty.

PAMIĘTNIK.

O pogodzie.

Już nawet podlotki strzegą się rozmowy o pogodzie. Wiedzą bowiem od swoich rodziców, że nie ma tematu bardziej wyszarzanego i kompromitującego rozum, a nawet przyzwoitość towarzyską. Otóż czy zastanowiliście się kiedy, dlaczego tak jest, dlaczego nieszczęśliwa „pogoda" tak zeszła na psy? Dlatego, że o niej nic powiedzieć nie umiemy. Gdybyśmy obok stwierdzenia faktów, każdemu wiadomych — np. że deszcz pada, wiatr dmie, mróz bierze itd. — umieli objaśnić ich przyczyny i skutki, rozmowa o pogodzie byłaby nietylko jedną z najpoważniejszych, ale nawet najbardziej zajmujących. Pomyśl, ładna pani, która uśmiechasz się złośliwie, gdy twój niezręczny wielbiciel mówi przy powitaniu: och, jakże dzisiaj jest gorąco!; jak ciekawie słuchałabyś go, gdyby on ci powiedział: obserwatoryum meteorologiczne przysłało telegram, że dziś wieczorem przeciągnie nad Warszawą straszna burza gradowa pasem szerokości dwumilowej: folwarku państwa nie dosięgnie, ale zniszczy zapewne pola wzdłuż plantu kolei petersburskiej; lekarze zalecają otoczenie szczególną opieką ludzi nerwowych, dentyści zaś — unikanie drażnienia spróchniałych zębów—itd. Czy pani utrzymywałabyś wtedy, że rozmowa o pogodzie jest nudna? Wątpię. I dziś nie jest ona wcale nudna dla rolników, ogrodników, młynarzy, dla milionów ludzi, których praca zależna jest od zmian atmosferycznych. Woleliby oni dowiedzieć się, jakie będzie jutro powietrze, niż jaką notę prześle rząd francuski w sprawie wysp Samoa. Ręczę, że niejeden młody ziemianin, chcąc nazwać swą narzeczoną najdroższem imieniem, odzywa się do niej obecnie: o, moja ty najukochańsza ulewo!, a do złej połowicy: ach, ty suszo!

Rzeczywiście, susza jest dla rolnika chyba teraz największem złorzeczeniem; po beześnieżnej bowiem zimie brak deszczów wiosennych wprawia ziemię w zupełne omdlenie. Podczas gdy my, mieszczuchy, daremnie szukamy w pamięci tak ślicznej i wczesnej wiosny, a poeci palą dla niej rymowane kadzidła, wieśniacy zgrzytają zębami: „Żyto po 2 rs. korzec, a pszenica po 4 — wołają — i jeszcze nieurodzaj! Czyż niebo skarało nas na zagładę?"

Słowiki nie karmią się ziarnem, więc sobie wesoło śpiewają. I my, chociaż karmimy się niem, także śpiewamy. Ale choć nam dobrze z ciepłem i światłem, nie mamy nic przeciw—najukochańszej ulewie.

Czułe serca.

Nawet najupartszy pesymista musiał się wzruszyć na widok milionów serc, bijących trwogą o los kilku nieznanych biedaków, którzy wlazłszy nieopatrznie do groty styryjskiej, Lügloch, zostali w niej odcięci od świata przez wezbrany potok. Codziennie telegraf roznosił po świecie wiadomości o postępie robót ratunkowych, codziennie rozpalał i gasił nadzieję wybawienia ich, a czytelnicy gazet, objaśniani szczegółowo, przechodzili prawie te same stany niepokoju i radości, co ów wielotysięczny tłum, który otaczał pieczarę — grób żywcem pogrzebanych. I my, zwłaszcza gdy M. Konopnicka wydobyła z tego wypadku (w *Kuryerze warsz.*) prześliczną tragedyę, śledziliśmy jego przebieg i czekaliśmy końca z najwyższem natężeniem. Zdawało się, że nie ma serca, któreby nie drgało pragnieniem ujrzenia nieszczęśliwych przy życiu. Wreszcie dzięki energicznym robotom inżenierskim i rozsadzeniu skały, zostali oni wydobyci śród entuzyazmu, szlochań i radosnych

okrzyków, w których niemal przyjęli udział najbardziej oddaleni świadkowie tej katastrofy — czytelnicy gazet. Jeszcze wycieńczeni, zgłodniali, nieprzytomni nie zdołali dźwignąć się z osłabienia, gdy nagle czułe serca zmieniły ton. Zaczęto po dziennikach oskarżać zmartwychwstańców, że nie mają żadnego przygotowania naukowego, że nie są wcale badaczami, że wleźli do groty dla szukania w niej skarbów, że trzeba ich stowarzyszenie, jak wszystkie podobne, rozwiązać — niewiele brakowało, ażeby ich kazano ochłostać. W tym surowym sądzie zabrało naganny głos również jedno z naszych serc czułych. Pewien fejletonista, który posiada je w wysokiej mierze, napisał: „Co to za pyszna ilustracya czasu ci frantowie, zamknięci w jaskini Luglocb, którzy poszli na niebezpieczną wyprawę, wycierpieli dziewięciodniowe tortury, zrobili (?) alarmu, narazili społeczeństwa (och!) na koszta i po co? Po nic — tak sobie. Dla zaspokojenia głodu wrażeń, czy chętki popisu.“ Chyba nie ulega żadnej wątpliwości, że ci biedacy byliby chętnie zrzekli się alarmu i kosztów społeczeństwa, a nawet łez współczucia i wybuchów radości, gdyby nie potrzebowali przez dziewięć dni patrzeć w oczy śmierci bez nadziei ocalenia się. Co do tych tak niedawno bohaterów a teraz winowajców, to objaśnić należy, że są oni bardzo zwyczajnym i licznym w krajach górskich gatunkiem ludzi, zamiłowanych w sporcie niebezpiecznych wycieczek. Kto zna „taterników,“ ten jeszcze nie ma dokładnego wyobrażenia o członkach stowarzyszeń i klubów alpejskich, którzy łażą całymi miesiącami po karkołomnych krawędziach i szczytach, skąd wracają — jeśli wracają! — obdarci, poranieni, wygłodniali z jedynem tylko zadowoleniem, że dotarli tam, gdzie niewielu lub nikt nie dotarł. Można nieraz dziwić się gustowi lub namiętności tych ludzi, ale niepodobna ich potępiać, tak samo jak nikt nie potępia cyklistów lub wioślarzy. W Styryi utworzyły się kółka „badaczów grot,“ którzy właśnie wpadli w fatalną jamę. Matka jednego z nich, prosta chłopka, ujrzawszy syna, wyniesionego ledwie żywym, zwymyślała go rzetelnie za to, że zamiast pójść do kościoła, wlazł do pieczary. Ktoby w pierwszej chwili był przypuszczał, że jej gniew udzieli się „czułym sercom“! *P.*

Fałszowanie herbaty.

P. A. Bukowski, asesor urzędu lekarskiego m. Warszawy, znowu ogłosił w *Zdrowiu* wyniki swoich badań nad herbatą, wziętą do rozbioru z rozmaitych sklepów. We wszystkich próbach wykrył on oszustwo — w najlepszym razie nieszkodliwe dla zdrowia, ale zawsze fałszujące produkt. Rozmaici Bidermany, Rabinowicze, Kaleccy, Hermany, Berlinery, Landerbergi, Hipszery, Warszawiaki, Grundsztainy itd. to dosypują liście kaukazkiej czernicy, to inne jakieś domieszki, to sprzedają herbatę zużytą, to podrabiają etykiety firm znanych, a naturalnie ofiarą tego oszustwa pada przeważnie ludność uboższa, nabywająca towar w sklepikach. Należy się wielka pochwała i wdzięczność p. Bukowskiemu za to sumienne i umiejętne odsłanianie łotrowstwa, ale nie łudźmy się co do skutku tej jego pracy. Naprzód, najstaranniejsze pielenie nie wykorzeni chwastów handlowych, powtóre przeciwdziałanie im nie jest dostatecznie silne. Cóż z tego, że jeden lub dziesiąty oszust, postawiony przed sądem, zapłaci 10 lub 15 rs. kary, skoro ten jednorazowy wydatek pokryją mu sowicie zyski z fałszerstwa. Cóż z tego, że p. B. ogłosi i napiętnuje wszystkich winowajców w piśmie, posiadającem szczupłe grono czytelników i to nienależących do sfery oszukiwanej. Gdyby najbardziej rozpowszechnione organy prasy odbiły w swych łamach każde echo takiego głosu, gdyby podały nazwiska i adresy sklepów, uprawiających nadużycie, wtedy obcięto by im pole operacyjne, a ludność ostrzeżona unikałaby ich. Tymczasem, oprócz *Kuryera codziennego*, który streścił sprawozdanie p. B., inne pisma, czytywane przez masy, milczą, a przynajmniej nie dopomagają w prześladowaniu złego. A przecież jest to chyba ważniejsze, niż kwestyonaryusz: jak pinczery zachowują się przed lustrem? *W.*

Wskazówka doświadczenia.

Uwagi nasze o potrzebie zaprowadzenia ulg w przewozie osobowym na kolejach stwierdza wymownie obecna pora, obfitująca w dnie pogodne i zachęcająca ludzi do wycieczek zamiejskich. Napływ pasażerów jest tak wielki, że często nie mogą się oni pomieścić w wagonach, a służba konduktorska nie jest w stanie skontrolować biletów. Tak się dzieje przy zwykłych cenach przejazdu lub przy nieznacznych ustępstwach. Pomyślmy teraz, o ile ten ruch wzmógłby się potężnie, gdyby komunikacya była jeszcze tańszą i dogodniejszą. Jakie my mamy w niej braki, innym wielkim miastom dawno nieznane, świadczy fakt, że w niedziele i święta połowa pasażerów z dworców kolei Nadwiślańskiej, Terespolskiej i Petersburskiej wędruje w nocy pieszo, ani bowiem dorożki, ani tramwaje nie mogą jej zabrać. Zapobiegłby temu dworzec centralny, któryby skupił w sobie cały ten ruch spacerowo-świąteczny. Jeżeli dziś rodzice z małemi dziećmi chcą późnym wieczorem iść pieszo dwie lub trzy wiorsty do domu po powrocie z wycieczki, to iluż by ona skusiła przy dobrej komunikacyi! Tu już nie popycha do reformy sentyment, ale zwyczajny interes.

Nasi sprawozdawcy.

Trzeba ciągle przestrzegać każdego, ażeby nie dowierzał sprawozdaniom dziennikarskim, chcąc się dowiedzieć czegoś o zebraniu, które odbyło się nie publicznie, zwłaszcza gdy chodzi o coś więcej, niż o nazwiska mówców. Prelegenci, występujący w Ratuszu lub innych podobnego rodzaju miejscach, znajdują się pod zbyt obszerną kontrolą, ażeby mieli popełniać bardzo wielkie grzechy. Ale tam, gdzie jej niema, sumienność wszelka znika zupełnie. Czytelnik pisma codziennego będzie wiedział, kto, przypuśćmy, w sali warszawskiego oddz. Tow. pop. rusk. przem. i handlu kichnął na posiedzeniu — są bowiem osoby, przywiązujące wiele do tego, ażeby nie pominięto ich nazwisk i sprawozdawcy, wiedząc o tem upodobaniu, unikają możliwej burzy nad swemi głowami. Recenzent wspomni także o oklaskach, „żarliwej“ wymianie zdań, o ilości osób, które były obecne, słowem o najdrobniejszych szczegółach, które pomnażają obfitość wierszy, lecz nie wymagają wysiłku ze strony reportera. Inaczej dzieje się z odczytem. Jest on zwykle scharakteryzowany paru ogólnikami, zwłaszcza jeżeli powiązanie myśli zbyt nie pasowało do zwykłej, lekkiej strawy i potrzebowało większej uwagi. Że zarzutów swoich nie czerpiemy z powietrza, na dowód lekkomyślności sprawozdawczej moglibyśmy przytoczyć fakt świeży. Ktoś miał odczyt o stosunku rzemiosła do wielkiej produkcyi. Wolno nie godzić się na wywody w nim wygłoszone, ale są one pod względem swoich założeń tak nieznane nawet naszej ekonomicznie wykształconej publiczności, iż chyba warto je było z tego powodu streścić w jakimś dziesiątku wierszy. Tymczasem sprawozdawcy donieśli, iż prelegent przepowiada upadek rzemiosła, co zresztą bardzo nieściśle oddaje myśl odczytu, bo z podobnem prawem ktoś inny mógłby powiedzieć, że on obiecuje drobnej produkcyi zwycięztwo nad wielką, i miałby taką samą słuszność. Fakty, ilustrujące odczyt, wzięto z najrozmaitszych stron świata. Ale prelegent miał nieszczęście być w Ameryce i mówić o niej w tej samej sali. Dzięki temu znaleźli się tacy sumienni recenzenci, którzy ogłosili, że odczyt traktował o położeniu rzemiosła po tamtej stronie Atlantyku i utyskiwali, że prelegent nie uwzględnił faktów europejskich, bo miałby inne zdanie o przedmiocie! Nie jest to fakt pojedynczy. A teraz stańmy na gruncie czytającej publiczności. Jest u nas sporo specyalistów, którzy interesują się pogadankami w owem Towarzystwie. Mają oni więcej rozumu w danej kwestyi, aniżeli ten lub ów sprawozdawca, będący od wszystkiego i zwykle nie bardzo rozumiejący się na rzeczy. Z przyjemnością więc może ktoś chciałby znać istotną treść pogawędki, na której z tych lub innych przyczyn nie był obecny. Naturalnie, przedmiotowe i sumienne oddanie cudzej myśli byłoby dla niego najbardziej pożądanem, sąd zaś wydałby sam — lepszy i umiejętniejszy, aniżeli recenzent. Cóż mu dać może garstka komunałów lub bezsensowne uwagi reporterów? Z tego powodu dajemy radę tym ostatnim, ażeby poszli inną drogą. Wprawdzie będą musieli coś notować, zamiast kręcić się po sali, ale przecież za to biorą pieniądze! *W.*

Nauczyciele gimnazyalni.

Ministeryum oświaty w ostatnich czasach zwróciło uwagę na braki w uzdolnieniu armii pedagogicznej, obsługującej gimnazya. Doświadczenie wykazało, że samo przyswojenie potrzebnej dla nauczyciela sumy wiedzy jeszcze nie wystarcza, że obok tego trzeba na pierwszym planie stawiać zdolności, temperament i usposobienie czysto pedagogiczne. Można bowiem umieć bardzo wiele, celować nawet w pewnych odłamach wiedzy, a nie módz obdarzyć nią innych. Były już pewne dorywcze próby w tej mierze, między innemi otwarto katedrę pedagogii przy Instytucie historyczno-filologicznym; ale wkrótce ją zwinięto, wychowańcom zaś IV kursu kazano uczęszczać na wykłady nauczycieli gimnazyalnych i dawać lekcye próbne. „Należy urządzić się w ten sposób — powiada *Now. Wrem.* — iżby nie zachodziła potrzeba organizowania, niezależnie od uniwersytetów, specyalnych instytutów dla przysposabiania nauczycieli. Trzeba, żeby młody człowiek, kierujący się na pedagoga, znalazł w uniwersytecie wszystko, co jest niezbędne dla pozyskania stopnia pedagoga. Pedagogia winna być przedmiotem obowiązującym, traktowanym i wykładanym o wiele obszerniej niż obecnie. Praktyka dzisiejsza, tj. chodzenie na wykłady do gimnazyów i lekcye próbne, pozwalają tylko poznać dydaktyczne uzdolnienie kandydata. Egzaminować czy próbować nie jest jeszcze tem samem, co wdrażać i kształcić w dziedzinie praktyki takiej, jaką być powinna. Wielu nauczycieli gimnazyów nie może służyć za wzór, godny do naśladowania. Dla rozwoju uzdolnienia pedagogicznego trzeba potroić kursy teoretyczne pedagogiki i dydaktyki, które zaznajamiałyby słuchaczów z podstawowemi zasadami i celem nauki specyalnej. Żeby zaś kursy tego rodzaju nie świeciły pustką, należy tam naukę połączyć z pracą praktyczną w gimnazyach.“ Niemcy mają specyalne seminarya pedagogiczne w uniwersytetach i gimnazyach, głównie zaś w tych ostatnich. Uczęszczają tam ludzie, którzy przeszli wykłady uniwersyteckie. Otóż zdaje się, że obecnie, w chwili dążności i ruchu, zapowiadającego reformy w tej mierze, będą najpierw, jako wzór, zbadane urządzenia zagraniczne. *P.*

Cykliści i łyżwiarze.

Uważnie przyglądając się rozwojowi życia sportowego u nas, spostrzegliśmy wiele szczegółów, które prowadzą do wniosku, iż

ze wszystkich tego rodzaju stowarzyszeń najszybsze postępy robią — cykliści. Oni bowiem tylko jedni posiadają siedzibę własną, zbudowali tam tor i gmach skromny lecz obszerny, wygodny. I chociaż w znacznej mierze zrobili ten krok wielki za pieniądze pożyczone, jednakże, o ile wnosić możemy ze sprawozdania rocznego, dług względnie dość szybko może być spłacony. Najmłodszy towarzysz sportowców, klub łyżwiarzy, nie czuje jeszcze sił dostatecznych dla dźwigania się samodzielnego. Całkiem więc słusznie udał się do cyklistów z prośbą o wydzierżawienie sadzawki na zimę i skrawków lądowych na zabawy letnie. Pomimo chwilowej opozycyi niektórych członków, myśl tę przed paru dniami większością głosów przyjęto. Więc i tym razem miłośnicy jazdy na rowerach ocenili należycie swój interes i szerzej spojrzeli dokoła. Łączność dwu stowarzyszeń wzajemnie wzmocni ich siły i wpłynie na wzrost powodzenia. Jedni drugim będą swój fach przekazywać i z czasem stworzą jedną grupę zwolenników ćwiczeń fizycznych i życia towarzysko-gromadnego.

Reforma ustaw sądowych.

Liczne zmiany, poprawki i uzupełnienia przekształciły niejednolicie przepisy, wytworzyły niezgodne, niejednostajne porządki sądowe. Skutkiem tego powstały liczne komplikacye, szczególnie w zakresie podsądności, zaskarżania wyroków i postanowień. Jednocześnie wynikły niedokładności i braki, nieodpowiadające dążeniom prawodawcy. „Obecnie — powiada komunikat, zamieszczony w *Praw. Wiest.* — przedstawia się konieczność przejścia od początkowych zmian w dziedzinie sądowej nie tylko do ujednostajnienia już zaprowadzonych, ale także do opracowania projektów, mających na celu ulepszenie wymiaru sprawiedliwości i doprowadzenie jej do większego ładu i jednostajności. Zadanie to można przeprowadzić jedynie drogą zupełnego przejrzenia przepisów działu sądowego, według ogólnego planu i zasad przewodnich, w których skład wejść powinny zachowanie i rozwój wszystkiego, co rzeczywiście jest pożytecznem i przekształcenie i usunięcie wszystkiego, czego życie nie wymaga.“ Otóż na przedstawienie zarządzającego ministeryum sprawiedliwości, Najwyżej rozkazano utworzyć przy owem ministeryum (pod prezydencyą zarządzającego) komisyę, do której zaproszone będą osoby, gruntownie obeznane z przedmiotem.

W DALI.

Łódź. Ożywienie w ruchu budowlanym zapowiada się niezwykle; złożono sto podań na budowle, z tych zaś dwanaście na zakłady fabryczne. Zdawałoby się, że wobec tego ceny lokalów będą coraz przystępniejsze; tymczasem dzieje się wprost przeciwnie: komorne wzrasta w stosunku odwrotnym do mnożenia się domów. Niedawno lokatorowie otrzymali zapowiedź nowej podwyżki komornego, która zacznie obowiązywać od 1 lipca r. b. — Filantropki miejscowe zaprojektowały utworzenie przy łódzkiem Towarzystwie dobroczynności wydziału opieki nad ubogiemi matkami. Również błąka się myśl utworzenia biura informacyjnego o nędzy wyjątkowej. Z dziedziny dobrych chęci Pani Filantropii zaznaczyć jeszcze musimy projekt łaźni dla ludności robotniczej i urządzenia tanich kuchen ludowych przy większych zakładach przemysłowych. Znamiennym faktem w tak olbrzymiem mieście jest brak biura adresowego, co nieraz nawet utrudnia bieg interesów, naraża bowiem wiele osób na stratę czasu, na poszukiwanie częstokroć bezowocne, tem bardziej, że nawet wiedząc, przy jakiej ulicy i w jakim domu dana osoba mieszka, nie zawsze można ją odnaleźć wobec braku listy i nieświadomości stróżów, którzy takie mają pojęcie o swych lokatorach, jak o Australii. To też nieobojętną jest dla łodzian i gości przyjezdnych wiadomość, iż poczynione starania przez gubernatora piotrkowskiego w sprawie utworzenia biura adresowego w Łodzi znalazły przychylne przyjęcie u władzy wyższej.

Lublin. Długo projektowaną spółkę cukrowniczą nareszcie zawiązano na lat 25. Kapitał zakładowy oznaczono na 600,000 rs. Na pokrycie tej sumy 63 uczestników złożyło 10% kwoty zadeklarowanej zaraz przy podpisaniu aktu rejentalnego; w tych dniach wnoszą 25%, resztę zaś w ratach kwartalnych w stosunku 10%. Kapitał zakładowy rozpada się na 120 udziałów po 5,000 rs. To nowe ognisko przemysłu wytryśnie pod działaniem kapitałów ziemian z gub. lubelskiej (właścicieli większych posiadłości), przemysłowców z Lublina i Warszawy. — Inna grupa kapitalistów miejscowych „nosi się“ z myślą „podniesienia“ procentu od swych funduszów i uważa za najpewniejszą lokatę — w lombardzie. Jakoż instytucyi tej pożądają oddawna ubodzy mieszkańcy miasta. Według projektu, lombard powstanie na zasadzie spółki udziałowej lub akcyjnej, procent zaś od zastawów ma wynosić tylko 12% rocznie, łącznie z „opłatą za przechowanie.“ — Opera miejscowa (śpiewana w trzech językach: włoskim, francuskim i polskim) zwraca uwagę swą względną starannością. Posiada ona własną orkiestrę i chóry (te ostatnie szwankują).

Płock. Oczekiwane jest wkrótce nadejście orzeczenia ministeryalnego w sprawie wodociągów. Przedsiębiorcy (z p. Fajansem na czele), urządzający to niezmiernie ważne udogodnienie dla miasta, projektują jednocześnie oświetlenie elektryczne przy pomocy motorów wodociągowych. Zdaje się wszakże, iż stanie tu na przeszkodzie budżet, zamknięty w zaklętem kole 3,000 rs., wydawanych na obecne marne oświetlenie; tymczasem elektryczne kosztowałoby 6,000 rs. — Kółko obywateli miejskich i wiejskich radzi nad wybudowaniem elewatora w Płocku. Myśl ta żywo zajmuje ziemian okolicznych.

Wilno. Obszar niesprzedanych dóbr ks. Hohenlohe wynosi jeszcze około 200,000 dziesięcin. Niektóre majątki, jak Werki pod Wilnem, Naliboki w Oszmiańskiem i Lubcz w Nowogrodzkiem, stanowić będą własność księżnej aż do upływu ostatecznie wyznaczonego terminu, tj. do pierwszych dni kwietnia 1896 r. — Na mocy uchwał rady miejskiej przyjęto wniosek starania się u władzy o ustąpienie na rzecz miasta 30% podatku państwowego od mieszkań. Nadto rada poleciła zarządowi miasta odnowić starania w zaniedbanych sprawach: założenia w Wilnie wyższej szkoły fachowej i kolonij dla nieletnich przestępców, uregulowania planu miasta, umocowania brzegów Wilenki, urządzenia nowych ogrodów publicznych i skwerów, wreszcie ulepszenia warunków oczyszczania miasta.

Kowno. Przed kilku tygodniami odbyło się walne doroczne zebranie członków miejscowego Towarzystwa gospodarstwa wiejskiego. Istnieje ono dopiero rok jeden i rozwija się dość pomyślnie. Towary nabywano w dobrych gatunkach i sprzedawano po cenach niższych, niż zwykle u handlarzy spekulantów. Składy Towarzystwa znajdują się w Kiejdanach. — Według statystyki urzędowej, ogólna liczba szkół, oprócz cerkiewnych, wynosiła 240 (11,626 uczniów i 2,099 uczenic). W r. 1893 w porównaniu z rokiem poprzednim liczba szkół wzrosła o 2, a młodzieży szkolnej o 550 (4,1%). W zakładach naukowych niższych przyrost wynosi 4,8%, a w ściśle ludowych — 5,4%. Wedle wyznań: prawosławnych 918, starowierów 194, katolików 8,097, protestantów 816, żydów 2,440 i mahometan 2.

Moskwa. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa złożyło radzie plan organizacyi instytutu rolniczego w Moskwie, zamiast akademii Piotrowskiej. Do zakładu tego będą przyjmowani kandydaci z wyższem wykształceniem naukowem. Dla tych, którzy ukończyli kursy uniwersyteckie, wykład nauk będzie skrócony. Synowie właścicieli ziemskich będą korzystali z pewnych ulg, mianowicie przyjmowani będą do Instytutu po ukończeniu szkół rolniczych, zaliczonych do średnich zakładów naukowych. Kurs nauk rozpada się na dwa oddziały równoległe: w jednym wykład samego rolnictwa, w drugim — przedmioty rolniczo-techniczne. Zajęcia praktyczne w laboratoryach, na polach doświadczalnych i fermach zajmą wybitne miejsce. Opłata za słuchanie nauk rs. 400. Istnieć mają stypendya. Słuchacze, którzy ukończą kurs ze stopniem agronoma, korzystać będą z praw, przysługujących wychowańcom uniwersytetów. Instytut ma być otwarty 13 października r. b.

SPRAWY EKONOMICZNE.

W SEKCYI ROLNEJ.

Nowa organizacya dla zwalczania szkodników. — Odczyt p. Chełchowskiego. — Niszczyciele z Warszawy. — Zasługi Loefflera i Giarda. — Sprawy praktyczne na obradach sekcyi. — Zbiorowa wycieczka do Berlina. — Czego nasi ziemianie nie widzą za granicą? — Szereg wystaw tegorocznych.

Dwa ostatnie zebrania miesięczne zaznaczyły się nadzwyczajną obfitością materyału, podlegającego obradom i sporom. Ale z tej masy przedmiotów bezbarwnych, z powodzi nieśmiertelnych kwestyj parcelacyjnych i dewastacyjnych, z tysiąca projektów i zdań odświeżanych i podawanych za nowe, wybiorę tylko to, co ma podstawy konkretne i co istotne znaczenie dla ogółu ziemian posiadać może, a zarazem tworzyć ogniwo, wiążące inne odłamy życia ekonomicznego wszelkich warstw ludności. Przedewszystkiem zobaczmy, co kiełkuje w sekcyi rolnej i po za nią. Jeden z ukształconych i szerzej na świat patrzących ziemian, p. Chełchowski, wygłosił na posiedzeniu kwietniowem bardzo ciekawy odczyt o „niszczeniu szkodników gospodarskich za pomocą grzybków chorobotwórczych.“ Rezultatem tej pracy było stworzenie delegacyi entomologicznej, w której skład weszli pp. Chełchowski, Rugiewicz, Sempołowski i Sznabl; po za tem prawdopodobnie wzmocnią tę organizacyę jeszcze inni specyaliści, mogący służyć wiedzą i środkami, ułatwiającymi badania.

Niezależnie od tego tworzy się w tych dniach inna delegacya w łonie Towarzystwa ogrodniczego, mająca także na celu przeciwdziałanie szkodnikom; ale oprócz czworonogów, wielonogów i stworzeń skrzydlatych, ma ona jeszcze na myśli dwunogów, obdarzonych zdolnością myślenia, a jednak wyrządzających nieraz szkody, których rezultaty czasami mogą dorównywać spustoszeniom, czynionym przez myszy polne lub chrabąszcze. Niedawno czytaliśmy wielce charakterystyczną wiadomość, że mieszkańcy gmin podmiejskich odbywają specyalne narady nad tem, w jaki sposób możnaby zapobiedz napadom gości warszawskich, ludzi prawdopodobnie wykształconych i ogładzonych jako tako, którzy udając się na majówki w różne okolice, tratują pola, niszczą brutalnie posiewy, łamią drzewka owocowe itd. Ponieważ ani prośby, ani przemawianie do rozsądku nie pomaga, więc pokrzywdzeni postanowili działać środkami prawno-administracyjnymi; mianowicie ustanowić wspólnych stróżów polnych i przy ich pomocy pociągać szkodników do odpowiedzialności sądowej. Czyż można wobec tego dziwić się, że ciemny a często nietrzeźwy chłop przez cudze żyto jedzie; że dla skrócenia drogi wydeptuje ścieżki przez łany zboża, że gdy mu bat się zepsuje, bez wahania zetnie drzewko posadzone przy drodze, że dla ściągnięcia jabłka z cu-

dzego ogrodu, gałąź całą ułamie? Takie szkody są u nas codzienne i widoczne na każdym kroku. Przerzućmy się za granicę i zobaczmy, jak tam bezpiecznie faluje zboże nawet niestrzeżone, jak pięknie i cało rosną drzewa przy drogach. W czemże tkwi takie poszanowanie cudzej pracy i dobra powszechnego? Przedewszystkiem — w wyższym poziomie umysłowym ogółu ludności, następnie w zamiłowaniu ładu i należytej ocenie wszystkiego, na co się praca ludzka złożyła. Zasady w tej mierze wpajane są od dzieciństwa i popierane dobrym przykładem; na nieliczną zaś garstkę ludzi, skłonnych do niszczycielstwa, istnieją odpowiednie organy i przepisy ochronne.

Otóż delegacya, wychodząca z łona Towarzystwa ogrodniczego, ma na myśli zapoznanie się najpierw z tem wszystkiem, co zrobiono za granicą i następnie wprowadzenie podobnych środków u nas. Delegacya zaś sekcyi rolnej głównie ma na względzie pracę nad sposobem tępienia szkodników ze świata zwierzęcego. Całkiem więc słusznie oba te kółka zamierzają połączyć się w jedno. Tym sposobem działalność będzie pełniejsza i szersza, ale jako oparta w znacznym stopniu na podstawie badań naukowych, nie może ona się zasklepiać w sprawach domowych, lecz musi ciągle się łączyć z uczonymi po za krajem i z instytucyami przez nich kierowanemi. Za granicą istnieje właśnie międzynarodowe stowarzyszenie do badania roślin i niszczenia szkodników, zawiązanie więc z niem stosunków jest nietylko rzeczą pożądaną, lecz nawet konieczną, gdyż tam dzisiaj już rzetelne próby i badania wykazały dość obfite owoce w tej mierze.

Ciekawe dzieje i rezultaty walki ze szkodnikami przedstawił szczegółowo p. Chełchowski w swoim referacie. Naturalnie bronią tu najskuteczniejszą jest bakteryologia, która między innemi przekonała, że źródłem gnilca u pszczół jest zarazek (*bacilus Preussii*), że choroba jedwabników również wynika z tych samych przyczyn (*streptococcus Bombycis*). Gdy rolnicy bezsilni nie wiedzieli, co począć z masami myszy polnych, wyrządzających nieobliczone straty, prof. Loeffler z Greiswaldu obwieścił światu, iż zbadał zarazek tyfusu mysiego. Jakoż rezultaty swych dociekań miał sposobność prędko w praktyce wypróbować. Gdy r. 1892 w Tesalii rozrost myszy doszedł do rozmiarów niebywałych i groził mieszkańcom ruiną, wezwali oni badacza powyższego, który wraz ze swym asystentem, dr. Ablem, wytępił zupełnie groźnego wroga. Sposób niszczenia bardzo prosty: kawałki chleba lub ziarna pszenicy, nasycone roztworem kultur zarazka, zagrzebywane są w norach. Rozumie się najlepiej to czynić wtedy, gdy jeszcze myszy nie mają innego pożywienia, które przekładałyby nad produkt zatruty.

Obok powyższego szkodnika, wielkie spustoszenia czyni chrabąszcz. We Francyi straty przezeń wyrządzane sięgają 100 milionów fr. rocznie. My nie mamy tak dokładnych urządzeń statystycznych, któreby nam pozwoliły obliczyć straty tego rodzaju. Są one wszakże znaczne i nie przesadzimy twierdząc, że w wielu razach zubożenie kraju trzeba przypisać powyższym szkodnikom.

I tutaj bakteryologia przyszła z pomocą. Francuz Giard odkrył grzybka zabójczego dla pędraka chrabąszcza (*Isaria densa*). Dziś już istnieją we Francyi syndykaty specyalne, które się zajmują hodowlą zarazka i niszczeniem chrabąszczy. Rozumie się, że obok firm uczciwych rozwinęła się tandeta i spekulacya, którą i my już zdołaliśmy poczuć; mianowicie p. Jankowski sprowadził zarazki, ale niefortunnie trafił do firmy nieuczciwej („Fryburg i Hesse"), więc oczywiście zawiódł się zupełnie. Wobec tego słuszną jest rada p. Chełchowskiego, ażeby ziemianie, łącząc się w grupy, sprowadzali zarazki zbiorowo. Pozwoliłoby to zawiązać trwałe stosunki z firmami uczciwemi i taniej korzystać z ich usług. Jeszcze zaś lepszym środkiem byłoby zorganizowanie badań i hodowli zarazków w kraju. O ile wnosić możemy, połączona działalność dwu delegacyj powyższych w charakterze stałej instytucyi, wcieli właśnie to ważne zadanie do programu swej pracy. Trzeba tylko, ażeby ogół ziemian we własnym interesie poparł tę nową, niezmiernie ważną i pożyteczną organizacyę. Dotychczas badania u nas w tej mierze czyniono dorywczo i pojedynczo (Jan Danysz, dr. Palmirski, dr. Bujwid), to też widocznych i bardzo przekonywających rezultatów nie mamy, gdyż brak po temu szerszego pola. Liczmy na to, że nowe stowarzyszenie entomologiczne usunie dotychczasowe braki i że do swego związku powoła najwybitniejszych pracowników naszych w dziedzinie bakteryologii.

Ostatnie zebrania ziemian w sekcyi rolnej pozwoliły nam uczynić bardzo dodatnie spostrzeżenie: widzimy, iż największe zaciekawienie budzą i najżywsze rozprawy wzniecają kwestye, zmierzające do działań praktycznych około podniesienia i wzmocnienia gospodarki, zastosowania do niej badań naukowych i ich wyników. Kiedy p. Janasz odczytał sprawozdanie z doświadczeń nad odmianami kartofli, wynikły dość długie dyskusye, wyjaśnienia i dowiodły, że śród członków sekcyi jest spora garść ludzi zdolnych, fachowo wykształconych, którzy radziby ofiarować swą pracę ogółowi. Rozumie się, że i tu nie brak opozycyi, wyrażającej swoje niedowierzanie do wszelkich nowych metod, że są tacy, którzy nie chcą wniknąć w to, co się dzieje gdzieindziej, lecz najbardziej ufają „gospodarskiemu rozumowi," nielubiącemu wyglądać po za swą miedzę i odstępować od zasad, przekazanych przez przodków. Zdaje się, że i p. Szwejcer nie zupełnie wierzy w zbawienne usługi bakteryologii, jako broni, wymierzonej przeciwko szkodnikom. Powiada, że tego rodzaju szkodliwe stworzenia padają ofiarą drapieżności borsuków, lisów itd. Ale słusznie i dowcipnie ktoś na posiedzeniu zaznaczył, że nie każdy może się przytulić do puszczy i bez kłopotu korzystać z jej usług.

Ci, którzy się nie zasklepiają we własnej zagrodzie, nie poprzestają na wieściach, przynoszonych ze świata przez Icków i Janklów i na rozszerzaniu swej wiedzy specyalnej przez pogawędki z sąsiadami — mają obecnie sposobność wyjrzenia na świat i nauczenia się czegoś od sąsiadów znacznie dalszych. Berlin otwiera w pierwszych dniach czerwca wystawę rolniczą, dla której zwiedzenia p. Bolesław Rugiewicz (sekretarz sekcyi) stara się stworzyć zbiorową wycieczkę. Myśl to bardzo dobra, gdyż dla grupy gości można wyjednać większe ustępstwa i ułatwienia, niż dla jednostek luźnych. Należy tylko taką wycieczkę umiejętnie i praktycznie urządzić. Przy sposobności p. Rugiewicz zaznaczył rys wielce charakterystyczny. Nasi zamożniejsi ziemianie prawie co rok jadą gdzieś na kuracyę lub rozrywkę za granicę i spędzając mile czas w *badach*, nie wiedzą, że tuż obok istnieje jakaś wystawa pożyteczna. Oto ich szereg, zapowiedziany na sezon niniejszy: między 12 a 20 b. m. w Berlinie wystawa koni, jednocześnie w Wiedniu wystawa koni Towarzystwa rolniczego; 13—16 b. m. w Pradze międzynarodowa wystawa drobiu i rolnicza w połączeniu z jarmarkiem; 1—2 czerwca we Wrocławiu drugi szlązki jarmark na bydło rozpłodowe; 2—10 czerwca w Bernie morawskiem międzynarodowa wystawa myśliwska; od 2 czerwca do 3 lipca w Zurichu powszechna wystawa rybacka; 19 czerwca we Lwowie międzynarodowy konkurs pługów, takiż sam konkurs w Poscie przez czerwiec i lipiec; wreszcie od 6 do 10 września w Wiedniu czwarty międzynarodowy jarmark na bydło rozpłodowe i nierogaciznę.

Inne sprawy, poruszone na obradach, gdy dojrzeją, rozpatrzymy osobno.

Zen. Piet.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Przy ministeryum spraw wewnętrznych tworzy się komisya do oceny projektu nadprokuratora Najśw. Synodu, Pobiedonoscewa, o ustanowieniu majoratów (działów rodzinnych) włościańskich. Istota pomysłu polega na tem, że właściciel majątku, nie zrzekając się prawa zaciągania długu, sprzedaży lub darowizny, może ogłosić majątek swój jako odpowiedzialny za długi i wzbronić podziału jego po śmierci. Celem takich majoratów jest niedopuszczanie podziału majątków włościańskich na drobne cząstki i przymusowego przechodzenia ich drogą sądowego wywłaszczenia w ręce obce.

— Zarząd telefonów w Krakowie ma kłopot z tworzeniem nowych linii; spotyka bowiem opór wielu właścicieli kamienic, którzy nie pozwalają przeprowadzać drutów przez dachy. Co gorsza — nawet prezydent miasta nie chce zaopatrzyć swego biura w telefony, pomimo nacisku rady miejskiej.

— Gabinet zoologiczny przy uniwersytecie warszawskim powiększono o dwie sale, w których pomieszczono 450 nowych okazów ptaków krajowych.

— W Berlinie pociągnięto do odpowiedzialności sądowej ośmiu redaktorów, oskarżonych o szerzenie rozmyślnie fałszywych wiadomości, dotyczących zajść, na zebraniu robotników 18 stycznia r. b.

— Świeżo utworzone w Krakowie Towarzystwo artystów-malarzy powołało do zarządu pp. Piotrowskiego, Gierymskiego, Pruszkowskiego, Talowskiego, Stasiaka, Chodzińskiego i Langmana.

— Pod mostem w Pantin (depart-Sekwany) znaleziono 13 nabojów dynamitowych.

— Warsztaty królewskie w Kielu, dla uniknięcia konieczności dalszych uwolnień robotników, zamierzają unormować płacę.

Szkoły. Komitet nadzorczy szkoły rzemieślniczej w Irbicie zwrócił się do magistratu warszawskiego o wyszukanie kandydata na posadę majstra szewckiego w tym zakładzie. Odezwę ową przesłano urzędowi starszych zgromadzenia szewców.

— *Rusk. żizń* donosi, iż otwarcie instytutu lekarskiego dla kobiet jest blizkie.

— Postanowiono szkoły handlowe poddać władzy ministeryum skarbu.

— W ministeryum oświaty opracowano projek emerytury dla nauczycieli elementarnych.

— Do rektora uniwersytetu krakowskiego kilka panien wniosło podanie o przyjęcie ich w charakterze wolnych słuchaczek wydziału filologicznego.

— Przy wydziale telegrafu kolei Wiedeńskiej w r. b. utworzona będzie sekcya telefoniczna dla obsługi aparatów telefonowych w Warszawie i na prowincyi.

— Przy departamencie lekarskim postanowiono utworzyć komisyę, która się zajmie opracowaniem projektu o lekarzach licencyatach, fachowców z niższem wykształceniem, przeznaczonych głównie na obsługę ludności ubogiej.

— Ministeryum rolnictwa postanawia zrobić próbę organizacyi instytutu gospodarstwa wiejskiego dla kobiet.

— W r. b. wakacye studentów instytutu nowo-aleksandryjskiego rozpoczną się dopiero 12 sierpnia. Egzaminy przejściowe z kursów I i II-go będą ukończone w początkach lipca, a zbywający czas do ukończenie roku szkolnego ma być poświęcony robotom mierniczym na folwarku Końsko-Wola. W przyszłym roku akademickim otwarty będzie kurs trzeci.

Koleje i komunikacye. Dla ułatwienia komunikacyi pocztowej pomiędzy Warszawą a Moskwą i Smoleńskiem, listy proste i rekomendowane idą nie tylko pociągiem pocztowym ale i innym, wychodzącym z Warszawy o 8-ej m. 53 zrana i przychodzącym o 9-ej m. 58 wieczorem.

— Wkrótce po ostatecznem zatwierdzeniu projektowanej zniżki taryfy osobowej, departament kolejowy przystąpi do przygotowania biletów nowego typu.

— Ministeryum komunikacyi w porozumieniu z ministeryum rolnictwa zaleciło w tych dniach zarządom wszystkich kolei postarać się o możliwie szybkie urzą-

dzenie na głównych stacyach składów na zboże tudzież inne produkty rolnicze. Na dokonanie tych robót ministeryum wydawać będzie pożyczki. W tym celu uzyskany kredyt wynosi 4 mil. rs.

— Rząd austryacki proponuje przekształcenie taksy telegraficznej. Według tego planu, taksa w całej Europie ma być jednakowa: za 10 wyrazów 1 frank.

— Kazano zamknąć rachunki z akcyonaryuszami kolei Mitawskiej z powodu wykupu jej na rzecz skarbu.

— Szemat zniżki taryf pasażerskich po ostatecznem przerobieniu w departamencie kolejowym wejdzie do rady państwa w jesieni r. b. z tem wyrachowaniem, aby nowe taryfy zaczęły obowiązywać od 13 stycznia r. 1895.

— Kierunek linii, mającej połączyć kolej Uralską z Wielko-syberyjską wytknięto od Jekaterynburga ku Czelabińskowi na przestrzeni 230 wiorst. Koszt 6½ mil. rs. Budowa zacznie się w r. b., ukończona będzie roku 1896.

— W Paryżu puszczono w ruch pierwszy pociąg poruszany elektrycznością.

— Ministeryum komunikacyi postanawia urządzić na wszystkich kolejach skarbowych domy dla inwalidów kolejowych.

Zdrowie publiczne. W Warszawie powstaje nowy szpital oftalmiczny przy ul. Bielańskiej.

Wystawy i zjazdy. W Berlinie otwarto wystawę włoską.

— W paryzkiej szkole sztuk pięknych otwarto wystawę konkursową modelów marki pocztowej.

— W Berlinie otwarto międzynarodowy kongres górniczy.

Wypadki. Królewska prochownia w Waltham o 22 kilometry od Londynu, wyleciała w powietrze. Wielu robotników ranionych i zabitych.

— Dn. 11 b. m. w Paryżu przy Avenue Kleber anarchiści dokonali zamachu dynamitowego w bramie domu fabrykanta Massingen.

— Z Ameryki donoszą, iż trzęsienie ziemi zniszczyło kilka miast w Wenezueli. Zginęło 10,000 ludzi.

Zmarli. Alfons Preyss w Warszawie, adwokat. Dzięki niepospolitej zdolności, na krótko przed reformą sądową otrzymał godność obrońcy przy senacie.

— Helena Wysłobodzka w Wiedniu; malarka portretów i scen rodzajowych, znana pod nazwiskiem Emil Helon.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Róży Ok. Świadectwo szczepienia ospy i moralnego prowadzenia się, patent z 4 klas gimnazyum żeńskiego lub odpowiedni egzamin. Kurs dwuletni — opłata 26 rs. rocznie. Zapisy przy końcu wakacyj.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 6 Мая 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.